

Antychryst

Fryderyk Nietzsche

Friedrich W. Nietzsche: *Antychryst* [Tyt. oryg. *Der Antichrist*],
przełożył Leopold Staff
Opracowanie graficzne, skład ¹ i korekta: Jarosław Paterczyk
e-mail: japater@wp.eu



Friedrich Wilhelm Nietzsche

- *Ludzkie, arcyłudzkie*
- *Wędrowiec i jego cień*
- *Jutrzenka*
- *Wiedza radosna*
- *Tako rzecze Zaratustra*
- *Poza dobrem i złem*
- *Z genealogii moralności*
- *Zmierzch bożyszczy*
- *Antychryst*
- *Dytyramby Dionizyjskie*
- *Ecce Homo*
- *Wola mocy*
- *Pisma pozostałe 1862-1875*
- *Pisma pozostałe 1875-1889*
- *Listy*

¹compiled by *LaTeX 2_ε*

nięcie w sprzeczność; ba, pojęciem tym chętnie się posługuje w celach polemicznych.

Wpływ

Literatura

Sam Nietzsche nie doczekał się uznania dla swych idei, jednak ich oddziaływanie na niektóre kręgi społeczne było już na przełomie stuleci znaczne. Chodzi tu przede wszystkim o środowisko pisarzy: znali go bracia Henryk Mann i Tomasz Mann, Rainer Maria Rilke, Hermann Hesse, Paul Heyse, Georg Heym, Georg Trakl, Franz Rosenzweig z twórców niemieckich, Brandes, August Strindberg ze Skandynawów, Andre Gide z pisarzy francuskich, Gabriele D'Annunzio z włoskich. Z pisarzy polskich silnie oddziaływał Nietzsche na Przybyszewskiego, Brzozowskiego i Berenta.

Filozofia

Wpływ Nietzschego na filozofię był wolniejszy, do stawianych przez niego problemów filozofia europejska musiała przede wszystkim dojrzeć. Zapożyczenie koncepcji nietscheańskich widać wyraźnie w psychoanalizie Freuda, którego libido jest zubożoną odmianą woli ku mocy. Na początku XX wieku do serii swoich wykładów włączył jego filozofię Georg Simmel, a tuż przed wybuchem I wojny światowej z pozycji chrześcijańskich polemizował z Nietzsche Max Scheler.

Dopiero egzystencjalizm zwrócił poważniejszą uwagę na problemy postawione przez Nietzschego i podjął z nim dialog: prace poświęcone Nietzschemu pisali Martin Heidegger i Karl Jaspers, analizował go Albert Camus. Jacques Maritain próbował godzić Nietzschego z personalizmem, a obecnie za swojego ojca duchowego uznają go postmoderniści z Rortym i Derridą na czele.

Pisma Nietzschego w języku polskim

Prawdopodobnie najlepszym tłumaczem dzieł Nietzschego był Leopold Staff. Lektura jego przekładów jest korzystna ze względu na piękną polszczyznę. Bardzo dobre są też tłumaczenia Bogdana Barana, tłumaczenie Zaratusztry Sławy Lisieckiej i Zdzisława Jaskuły wydane przez PIW – kongenialne.

Poniżej lista dzieł Nietzschego, które ukazały się w języku polskim.

- *Niewczesne rozważania*

Przedmowa

Książka ta przeznaczona jest dla najmniej licznych. Może z nich nawet nikt jeszcze nie żyje. Mogliby to być ci, którzy rozumieją mego Zaratusztrę: jakże bym śmiał brać siebie za jednego z tych, dla których już dziś rosną uszy? – Dopiero pojutrze jest moje. Niektórzy rodzą się jako pośmiertni. Warunki, w których mnie się rozumie i wtedy siłą konieczności rozumie – znam je zbyt dobrze. Trzeba być rzetelnym w rzeczach duchowych aż do twardości, by choć tylko znieść moją powagę, moją namiętność. Trzeba obytym być z życiem na górach – mieć godną politowania gadaninę o codziennej polityce i samolubstwie ludów pod sobą. Trzeba zobojeźnić, trzeba nie pytać, czy prawda jest pożyteczna, czy się dla kogoś fatalnością staje... Upodobanie siły w pytaniach, do których nikt dzisiaj nie ma odwagi; odwaga do tego, co zakazane; skazanie z góry na labirynt. Doświadczenie wyniesione z siedmiu samotności. Nowe uszy dla nowej muzyki. Nowe oczy dla tego, co najdalsze. Nowe sumienie dla prawd, które dotąd były nieme. I wola ekonomii wielkiego stylu: zachowywać swą siłę, swój zapal w skupieniu... Cześć dla siebie; miłość dla siebie; bezwzględna wolność względem siebie... Dobrze więc! To są jedynie moi czytelnicy, moi prawdziwi czytelnicy, przeznaczeni mi z góry czytelnicy: cóż zależy na reszcie? – Reszta to tylko ludzkość. – Trzeba być wyższym nad ludzkość siłą, wyżyną ducha – pogardą...

stości rasowej” i domach, w których czyste rasowo kobiety, zapładniane przez równie czystych rasowo SS-manów miały rodzić kolejne pokolenia „nadludzi”.

Przewartościowanie wartości

Nietzsche nie ukończył również dzieła, które miało być propozycją przewartościowania wartości. O tym, że miało powstać, wiadomo jedynie z luźnych zapisków odnalezionych w spuściźnie filozofa. Są podstawy, by sądzić, że przymiarkami do niego były książki *Poza dobrem i złem* oraz *Zmierzch bożyszczy*, być może także *Antychryst*. Wolno wszakże domyślać się, że chodziło o przywrócenie wartości temu, co w kulturze Zachodu od dawna uchodzi za „złe” – wyniosłości, uznaniu naturalnej nierówności między ludźmi oraz „niesprawiedliwości”, polegającej na faktycznym zaprzeczeniu idei równych praw.

Analiza języka, filozofia interpretacji

Jeszcze jeden element filozofii Nietzschego zasługuje na uwagę – nietzscheańska analiza języka. Nietzsche zajmował się tym zagadnieniem we wczesnych latach siedemdziesiątych, a wyniki swych dociekań opublikował w niewielkiej rozprawie *O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie*. Analizując narzędzie, jakim z racji wykonywanego zawodu się posługiwał, zwrócił przede wszystkim uwagę na metaforyczność języka, jego bezustanne odwoływanie się do wspólnych doświadczeń mówiących. Właściwym twórcą świata jest ten, który pierwszy wynajduje metaforę odsyłającą do innych przedmiotów i w ten sposób ukierunkowuje nasze postrzeganie. Jednocześnie następuje tu zafałszowanie świata, bo nazwany byt musi wpasować się w logiczną strukturę języka, zaś świat jest, zdaniem Nietzschego, **alogiczny**. Oznacza to też, że nie ma żadnej prawdy o świecie, a co najwyżej prawda o języku. Lecz i tu tkwimy w kręgu metafor, a więc fakty nie istnieją, jedynie interpretacje.

Niekiedy uznaje się, że stanowisko twórcy *Tako rzecze Zaratustra* logicznie prowadzi do relatywizmu pojęciowego. Takie jednak ujęcie jest niezgodne z większością współczesnej literatury przedmiotu, w której podkreśla się znaczenie perspektywizmu, tj. tezy, iż wszelkie poznawane obiekty są poznawane z pewnej perspektywy, a nie znikąd, z boskiego punktu widzenia. Innymi słowy, Nietzsche twierdzi raczej, że wszelkie widzenie, wszelkie rozumienie jest perspektywistyczne, osadzone w kontekście; taka teza jednak nie jest relatywistyczna w sposób radykalny, a jedynie umiarkowany. Umiarkowany zaś relatywizm nie jest stanowiskiem podlegającym obaleniu na mocy sprzecznych założeń (które przypisuje się radykalnemu relatywizmowi). Krótko mówiąc, Nietzsche może posługiwać się pojęciem prawdy bez obawy o popad-

się socjalizacji. Zobowiązania społeczne, zasady moralne, głęboko odczuwane pojęcie „ja”, wreszcie bezustanne odnoszenie życia do czasu, czynią akceptację wiecznego powrotu skrajnie trudną, jeśli nie niemożliwą. Zadaniu temu, zdaniem Nietzschego, sprostać mógłby jedynie Nadczłowiek.

Nadczłowiek (Übermensch)

Niestety, również koncepcji nadczłowieka Nietzsche nie zdążył wypracować w jasnej formie. Pojawia się ona ledwie w zarysie i pod postacią metafor w Zaratustrze i Woli mocy. Być może idea nadczłowieka miała być tematem następnych dzieł filozofa poświęconych przewartościowaniu wartości, jednak na ten temat można snuć jedynie domysły. Niektóre interpretacje odwołują się do nauki o wiecznym powrocie i przedstawiają nadczłowieka jako istotę, która może zaakceptować wieczny powrót. Oznacza to pełną zgodę na powtarzalność całej historii świata, łącznie z wszelkimi dokonanymi w niej gwałtami i mordami, ale i pełnią twórczej ekstazy. Trudno jednak wydać zgodę na gwałty, wartościując czyny z punktu widzenia powszechnie przyjmowanych zasad moralnych – aby to uczynić należałoby wprawdzie dokonać przewartościowania wartości w duchu nietzscheańskim.

Nietzscheański nadczłowiek miałby być istotą obdarzoną wielką wolą mocy, jednostką twórczą, której każda chwila życia jest doskonale pełna i warta ponownego przeżywania. Istota ta żyłaby poza zasadami obowiązującymi resztę ludzkości, poza rządzącymi nią prawami. Jednak, w ujęciu Nietzschego pokazanym w *Poza dobrem i złem*, żyłaby ona jak najbardziej właśnie w tym świecie, po tej jego stronie, w przeciwieństwie do tęskniącej za „zaświatami” reszty.

Zdaniem Nietzschego, w historii ludzkości nadczłowiek pojawiał się kilkakrotnie, zawsze jako efekt przypadku i zawsze dla współczesnych był uosobieniem zła, jawiąc się jako potwór. Jako przykłady nadczłowieka filozof podawał Aleksandra Wielkiego, cesarza Fryderyka II, Cezara Borgię i Napoleona. Twórcze zadanie ludzkości polegałoby na hodowli nadczłowieka, jako jej apoteozy.

Zanim jednak odrzuci się taką ideę nadczłowieka, warto przypomnieć sobie, że Leibniz głosił, iż żyjemy na najlepszym ze światów, dla Spinozy świat był Bogiem, a teologia nadal potrzebuje teodycei, aby usprawiedliwić Boga, istotę doskonale miłosierną, ze zła w świecie. Koncepcja nadczłowieka została zwulgaryzowana przez hitlerowców pod postacią Übermenschen (nadludzi), którzy wyznając swoiście pojmowaną przez nazistów „moralność panów”, mają prawo być władcami życia i śmierci Untermenschen (podludzi). Sam Nietzsche nigdzie w swoich pismach nie użył terminu „podczłowiek”. Idea „hodowli nadczłowieka” znalazła z kolei swą karykaturę w pojęciu „czy-

ntychryst

1. — Spójrzmy sobie w twarz. Jesteśmy Hiperborejami – wiemy dość dobrze, jak na uboczu żyjemy. „Ani lądem, ani wodą nie znajdziesz drogi do Hiperborejów”: to wiedział o nas już Pindar. Poza Północą, lodem, śmiercią – nasze życie, nasze szczęście. . . Odkryliśmy szczęście, znamy drogę, znaleźliśmy wyjście z całych tysiącleci labiryntu. Kto *inny* je znalazł? Czyżby człowiek nowoczesny? – „Nie umiem wyjść ni wejść; jestem wszystkim, co wyjść ni wejść nie umie” – wzdycha człowiek nowoczesny. . . Na *tę* nowoczesność byliśmy chorzy – na gnuśny pokój, na kompromis tchórzliwy, na całą cnotliwą niechlujność nowoczesnego „tak” i „nie”. Ta tolerancja i *largeur* serca, która wszystko „przebacza”, bo wszystko „pojmuje”, jest naszym *sirocco*. Raczej wśród lodów żyć niż wśród cnot nowoczesnych i innych wiatrów południowych! . . . Byliśmy dość waleczni, nie szczydziłiśmy siebie ni innych, lecz nie wiedzieliśmy długo, dokąd nam z naszą walecznością. Sposępnialiśmy, zwano nas fatalistami. Naszym fatum była pełnia, napięcie, stężenie sił. Łaknęliśmy błyskawicy i czynów, trzymaliśmy się jak najdalej od szczęścia słabeuszów, od „poddania”. . . Burza w naszym szalała powietrzu, przyroda, którą jesteśmy, zaciemniła się – bo nie mieliśmy żadnej drogi. Formuła naszego szczęścia: „tak”, „nie”, linia prosta, cel. . .

2. Co jest dobre? – Wszystko, co uczucie mocy, wolę mocy, moc samą w człowieku podnosi. Co jest złe? – Wszystko, co ze słabości pochodzi. Co jest szczęściem? – Uczucie, że moc rośnie, że przewycięża się opór. *Nie* zadowolenie, jeno więcej mocy; *nie* pokój w ogóle, jeno wojna; *nie* cnota, jeno dzielność (cnota w stylu odrodzenia, *virtú*, cnota bez moralizny). Słabi i nieudani niech szczyzną: pierwsza zasada naszej miłości dla ludzi. I pomoc należy im jeszcze do tego. Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek występki? – Litość czynna dla wszystkiego, co nieudane i słabe – chrześcijaństwo. . .

3. Nie to, co ma złuzować ludzkość w kolejnym szeregu istot, jest problemem, który tu stawiam (– człowiek jest kresem–): lecz jaki typ człowieka hodować należy, jakiego chceć należy, jako wartościowszego, godniejszego życia, pewniejszego przyszłości. Ten typ wartościowszy istniał już dość często: lecz jako szczęśliwy przypadek, jako wyjątek, nigdy jako chciany. Raczej *on* właśnie największym przejmował strachem, był dotąd prawie samą straszliwością i z obawy chciano odwrotnego typu, hodowano go, osiągnięto: zwierzę domowe, zwierzę stadne, chore zwierzę człowiecze – chrześcijanina. . .

4. Ludzkość *nie* przedstawia rozwoju ku lepszemu lub silniejszemu lub wyższemu, w ten sposób, jak się to dziś mniema. „Postęp” jest jeno ideą nowocześnie, to znaczy ideą fałszywą. Europejczyk dzisiejszy stoi wartością swoją głęboko pod Europejczykiem odrodzenia; rozwój dalszy *nie* jest zgoła mocą jakiejś konieczności wywyższeniem, podniesieniem, wzmocnieniem. W innym znaczeniu udają się ustawicznie na najrozmaitszych miejscach ziemi i na gruncie najrozmaitszych kultur poszczególne wypadki, które rzeczywiście przedstawiają typ wyższy: coś, co w stosunku do zbiorowej ludzkości jest rodzajem nadczłowieka. Takie szczęśliwe wypadki wielkie udaności były zawsze możliwe i będą może zawsze możliwe. A nawet całe rody, szczepy, ludy mogą w danych okolicznościach przedstawiać taką *wygraną*.

5. Nie należy chrześcijaństwa ozdabiać i przystrajać: wydało ono *śmiertelną* wojnę temu wyższemu typowi człowieka, wyklęło wszystkie podstawowe tego typu instynkty, wydestylowało z tych instynktów zło, *samego* złego: człowieka silnego jako typowo pogardy godnego, jako „wyrzutka”. Chrześcijaństwo stanęło po stronie wszystkiego, co słabe, niskie, nieudane, stworzyło ideał ze sprzeciwiania się samozachowawczym instynktom silnego życia; zepsuło rozum nawet duchowo najsilniejszych, ucząc najwyższe wartości duchowe odczuwać jako grzeszne, na manowce wiodące, jako pokuszenia. Najżałośliwszy przykład: zepsucie Pascala, który wierzył w zepsucie swego rozumu przez grzech pierworodny, podczas gdy był on tylko przez jego chrześcijaństwo zepsuty! –

6. Bolesne, grozą przejmujące ukazało mi się widowisko: ściągnąłem zasłone z zepsucia człowieka. Słowo to, w moich ustach, bronione jest przynajmniej od jednego podejrzenia: że zawiera moralne oskarżenie człowieka. Jest ono – chciałbym to raz jeszcze podkreślić – wolne od moralizny: i to do tego stopnia, że owo zepsucie tam właśnie najsilniej odczuwam, gdzie dotąd najsilniej dążono do „cnoty”, do „boskości”. Rozumiem zepsucie, zgadujecie to już, w znaczeniu decadence: twierdzeniem mym jest, że wszystkie wartości, w których ludzkość teraz swe najwyższe pożądanja zebrała, są wartościami decadence. Nazywam zwierzę, rodzaj, indywiduum zepsutym, jeśli straci swe instynkty, jeśli wybiera, jeśli przenosi nad inne to, co dlań szkodliwe. Historia „uczuc wyższych”, „ideałów ludzkości” – i rzecz możliwa, że będę ją musiał

ku mocy w życiu człowieka, to raczej chęć zwyciężania, pragnienie i uczucie posiadania siły zdolnej łamać wszelkie przeszkody, połączone z radością zwycięzcy i twórczą ekstazą. To pęd ku sile. Co jest dobre? – Wszystko, co uczucie mocy, wolę mocy, moc samą w człowieku podnosi. Co jest złe? – Wszystko, co z słabości pochodzi. Co jest szczęściem? – Uczucie, że moc równie, że przewycięża się opór. Nie zadowolenie, jeno więcej mocy; nie pokój w ogóle, jeno wojna; nie cnota, jeno dzielność (. . .)

Tak rozumiana wola mocy jest jednym z kilku pojęć, na którym Nietzsche opierał swą filozofię pozytywną.

Wieczny powrót

Koncepcje wiecznego powracania świata pojawiały się już w starożytności, u Heraklita z Efezu, którego Nietzsche cenil wysoko, i stoików, jednak Nietzschego nie interesował kosmiczny wymiar tej teorii, a wyłącznie jej konsekwencje dla ludzkiego życia. W opinii wielu filozofów nauka o wiecznym powracaniu jest zwornikiem, łączącym poszczególne propozycje pozytywne Nietzschego. Niestety, nauka ta przedstawiona jest jedynie jako zapowiedź w *Wiedzy radosnej* i rozwinięta niewiele bardziej w *Tako rzecze Zaratustra*. Trudno więc z całą pewnością stwierdzić, jak Nietzsche mógł ją rozumieć i wykorzystać w przyszłych dziełach.

A gdyby tak (. . .) jakiś demon (. . .) rzekł ci: „Życie to, tak jak je teraz przeżywasz i przeżywałeś, będziesz musiał przeżywać raz jeszcze i niezliczone jeszcze razy; i nie będzie w nim nic nowego, tylko każdy ból i każda rozkosz i każda myśl i każde westchnienie i wszystko niewymownie małe i wielkie twego życia wrócić ci musi, i wszystko w tym samym porządku i następstwie” – (. . .) Czy nie padłbyś na ziemię i nie zgrzytał zębami i nie przeklął demona, który by tak mówił? Lub czy przeżyłeś kiedy ogromną chwilę, w której byś był mu rzekł: „Bogiem jesteś i nigdy nie słyszałem nic bardziej boskiego”. Gdyby myśl ta uzyskała moc nad tobą, zmieniłaby i zmiażdżyła może ciebie, jakim jesteś. Pytanie przy wszystkim i każdym szczególe: „czy chcesz tego jeszcze raz i jeszcze niezliczone razy?” leżałoby jak największy ciężar na postępkach twoich. Lub jakże musiałbyś kochać samego siebie i życie, by niczego więcej nie pragnąć nad to ostateczne, wieczne poświadczenie i pieczętowanie.

Ten długi cytat ma uświadomić fundamentalne znaczenie nauki o wiecznym powrocie dla ludzkiego życia i sposobu w jaki się je przeżywa – oto bowiem w każdej chwili dokonujemy wyboru na wieczność. Czy właśnie to ma powtarzać się w nieskończoność? Czy właśnie tego chcę? Po wieczne czasy?

Wydaje się, że aby w pełni zaakceptować tak rozumiany wieczny powrót, nie można żyć na sposób, jaki zaszczepiany jest każdemu z nas w proce-

Stąd bierze się nihilizm – udawanie, że nic się nie stało, zaprzeczanie, że istnieją jakiegokolwiek problemy. Nihilizm w rozumieniu Nietzschego to akceptacja pozorów, uznanie za wartość tego, co jest już bezwartością. Łatwe i wygodne życie, przyjemne i pozbawione napięcia. Tak rozumiany nihilizm jest wrogi życiu, bo domaga wpasowania się w obowiązujący system norm oparty na moralności niewolniczej.

Moralność panów i moralność niewolnicza

Nietzscheańska analiza moralności wyróżnia dwa zasadnicze jej typy. Dla moralności panów pierwotnym jest pojęcie dobra, pojmowanego jako wszystko, co wzmaga poczucie mocy jednostki. Dobre jest to, co mi służy, wzmocnia mnie, daje poczucie siły. Dobry jest wróg, bo mogę z nim walczyć, dobry jest ból, bo mogę go znosić, dobry jest wysiłek, dobre jest cokolwiek, co napina moją wolę mocy. „Zło” jest pojęciem wtórnym i nie oznacza zła „metafizycznego”, a jedynie to, co wolę mocy osłabia. Moralność niewolnicza bazuje z kolei na pojęciu zła jako pierwotnym, które rozumiane jest jako cierpienie i wysiłek. Złe jest to, co zadaje mi ból, co zmusza mnie do wysiłku i walki. Dobro jest ulgą w cierpieniu, spokojem. Cechą charakterystyczną moralności niewolniczej jest resentment, uraza wobec świata, żal do życia, które nie spełnia oczekiwań.

Moralność człowieka jest zawsze wypadkową obu tych typów, nie ma typów czystych, a różnice występują jedynie w przewadze jednego nad drugim.

Wola ku mocy

Wola ku mocy (lub w dawniejszych interpretacjach, wola mocy) to jedno z centralnych pojęć filozofii Nietzschego, a jednocześnie jedno z mniej dopracowanych. Pewne fragmenty pism filozofa pozwalają na interpretację woli ku mocy w sposób podobny do heraklitejskiego ognia, który bezustannie przeprowadza jedne rzeczy w inne i jest podstawą istnienia świata, wydaje się jednak, że dla późnych poglądów Nietzschego reprezentatywne jest wyobrażenie woli ku mocy jako siły, której przejawem jest wszelkie życie i jego dążenia. Siła ta znajduje swe potwierdzenie i spotęgowanie w samej sobie w momentach najwyższej mobilizacji i przełamania oporów. W życiu człowieka wola ku mocy wyraża się poprzez poczucie siły jednostki i panowania nad sobą, w wytrwałości i zwycięskim znoszeniu przeciwności. Wola ku mocy nie jest wolą życia, bo to szuka przetrwania za wszelką cenę, a poczucie mocy może osiągnąć apogeum w chwili świadomej śmierci; nie jest też pragnieniem panowania nad innymi, bo często większe poczucie mocy daje służebność. Wola

opowiadać – byłaby prawie także wyjaśnieniem, dlaczego człowiek jest tak zepsuty. Życie samo uważam za popęd do wzrostu, trwałości, gromadzenia sił, do mocy: gdzie brak woli mocy, tam jest upadek. Twierdzeniem mym jest, że wszystkim najwyższym wartościom ludzkości brak tej woli, że wartości upadkowe, wartości nihilistyczne panują pod najświętszymi imionami.

7. Zwie się chrześcijaństwo religią *litości*. – Litość stoi w przeciwieństwie do afektów tonicznych, podnoszących energię poczucia życia: działa depresyjnie. Litując się, traci się siłę. Przez litość zwiększa i zwielokrotnia się jeszcze ubytek siły, który już sam cierpienie przynosi życiu. Samo cierpienie staje się przez litość zaraźliwym; w pewnych okolicznościach można osiągnąć przez nią ogólny ubytek życia i energii życiowej, który stoi w niedorzecznym stosunku do *quantum* przyczyny (wypadek z śmiercią Nazaretańczyka). To jest pierwszy punkt widzenia; lecz istnieje jeszcze ważniejszy. Jeśli się przypuści, że litość mierzy się wartością reakcji, którą wywoływać zwykła, to niebezpieczny jego dla życia charakter ukazuje się w jeszcze jaśniejszym świetle. Litość krzyżuje na ogół prawo rozwoju, które jest prawem *selekcji*. Utrzymuje ona przy życiu, co do śmierci dojrzało; broni ku korzyści wydziedziczonych i skazańców życiowych, nadaje samemu życiu, wskutek bezliku wszelkiego rodzaju nieudanych, których przy utrzymuje, wygląd posępny i podejrzany. Wazono się nazwać litość cnotą (– w każdej dostojnej moralności uchodzi ona za słabość –); posunięto się dalej, uczyniono z niej samą cnotę, grunt i źródło wszech cnot tylko oczywista, o czym zawsze pomnieć należy, z punktu widzenia filozofii nihilistycznej, która zaprzeczenie życia na swej wypisała tarczy. Schopenhauer był co do tego w swym prawie: przez litość zaprzecza się życiu, czyni się je bardziej zaprzeczenia godnym – litość jest praktyką nihilizmu. By rzecz raz jeszcze: ten depresyjny i zaraźliwy instynkt krzyżuje owe instynkty, które dążą do utrzymania życia i podwyższenia jego wartości: jest on zarówno jako mnożnik nędzy, jak też jako zachowawca wszystkiego, co nędzne, głównym narzędziem wzmocnienia decadence – litość namawia do nicości! . . . Nie mówi się „*nicość*”: natomiast mówi się „zaświat”; lub „Bóg”; lub „*życie prawdziwe*”; lub nirwana, zbawienie, szczęśliwość. . . Ta niewinna retoryka z dziedziny idiosynkrazji religijno-moralnych okazuje się natychmiast o wiele mniej niewinną, gdy się zrozumie, jaka dążność narzuca tu na siebie płaszcz wzniosłych słów: dążność wroga życiu. Schopenhauer był wrogiem życia: dlatego litość stała się dlań cnotą. . . Arystoteles, jak wiadomo, wdział w litości stan chorobliwy i niebezpieczny, któremu by należało czasem dopomóc środkiem przeczyszczającym: rozumiał on tragedię jako środek przeczyszczający. Ze stanowiska instynktu życia, trzeba by rzeczywiście poszukać środka, by takiemu chorobliwemu i niebezpiecznemu nagromadzeniu litości, jak to przedstawia przykład z Schopenhauerem (i niestety także nasza powszechna literacka i artystyczna *decadence* od Petersburga do Paryż,

od Tolstoja do Wagnera), zadać pchnięcie: by pękło. . . Nie ma nic niezdrowszego, wśród naszej niezdrowej nowoczesności, nad litość chrześcijańską. *Tu* być lekarzem, *tu* być nieubłagany, *tu* krajać nożem – to *nasze* zadanie, to nasz rodzaj miłości człowieka, przez to jesteśmy filozofami i Hiperborejami! –

8. Trzeba koniecznie powiedzieć, kogo odczuwamy jako swoje przeciwieństwo – teologów i wszystko, co krew teologów ma w żyłach – naszą całą filozofię. . . Trzeba było fatalność tę widzieć z bliska, lepiej jeszcze, trzeba było doświadczyć jej na sobie, trzeba było zniszczyć przez nią prawie, by tu nie znać już żartu (– wolnoduchostwo naszych panów przyrodników i fizjologów jest w moich oczach żartem – brak im namiętności w tych rzeczach, cierpienia z ich powodu –). Owo zatrucie sięga o wiele dalej, niż się mniema: odnalazłem instynkt teologiczny „pychy” wszędzie, gdzie człowiek dziś czuje się „idealistą” – gdzie, wskutek wyższego pochodzenia, rości się sobie prawo do patrzenia na rzeczywistość z wyższością i obco. . . Idealista ma, zupełnie jak kapłan, wszystkie wielkie pojęcia w ręku (i nie tylko w ręku!), gra nimi z dobrotliwą pogardą przeciw „rozumowi”, „zmysłom”, „zaszczytom”, „dobrobytowi”, „wiedzy”, widzi podobne rzeczy pod sobą, jako siły szkodzące i uwodne, nad którymi unosi się duch w czystym „dla siebie” – jak gdyby nie pokora, czystość, ubóstwo, jednym słowem świętość, niewymownie więcej szkody dotychczas życiu przyniosły niż jakiegokolwiek straszliwości i występki. . . Czysty duch jest czystym kłamstwem. . . Dopóki kapłan uchodzi jeszcze za wyższy rodzaj człowieka, ten przeczytel, oszczerca, truciciel życia z powołania, dopóty nie ma odpowiedzi na pytanie: co *jest* prawdą? Przewrócono już prawdę do góry nogami, skoro świadomy adwokat nicości i zaprzeczenia uchodzi za przedstawiciela „prawdy” . . .

9. Temu instynktowi teologów wydaję wojnę: znalazłem ślady jego wszędzie. Kto ma w żyłach krew teologów, stoi do wszystkich rzeczy w stosunku skośnym i nieuczciwym. Patos, który się z tego rozwija, zwie siebie wiarą: zamknięcie raz na zawsze oczu przed sobą, by nie cierpieć z powodu widoku nieuleczalnego fałszu. Z tej błędnej optyki w stosunku do wszystkich rzeczy czyni się sobie moral, cnotę, świętość, żąda się, by żaden inny rodzaj optyki nie śmiał mieć więcej wartości, skoro się własną uświęciło mianami „Bóg”, „zbawienie”, „wieczność”. Wszędzie dogrzebałem się jeszcze instynktu teologów: jest on najbardziej rozpowszechnioną, istotnie podziemną formą fałszu, jaka istnieje na ziemi. Co teolog jako prawdziwe odczuwa, musi być fałszywe: ma się w tym niemal kryterium prawdy. Najgłębszy jego instynkt samozachowawczy zabrania dojść rzeczywistości w jakimkolwiek punkcie do czci lub choćby tylko do głosu. Dokąd wpływ teologów sięga, tam przewrócono ocenę wartości do góry nogami, tam pojęcia „prawdziwy” i „fałszywy” są z konieczności odwrócone; co najszkodliwsze dla życia, zwie się tu prawdziwe, co je podnosi, wzmacnia, potwierdza, usprawiedliwia i triumfującym czyni, zowie

pollińskość i dionizyjskość

W swej pierwszej książce *Narodziny tragedii* Nietzsche wprowadził koncepcje apollińskości i dionizyjskości. Apollińskość jest dążnością do obrazowania świata, tworzenia jego pozoru, który przesłania prawdę o życiu i przez to pomaga je znosić. Z żywiołu apollińskiego wyrastają sztuki obrazowe – poezja, malarstwo i rzeźba. Przeciwwstawieniem apollińskości jest dionizyjskość, żywioł będący istotą życia, dzika nieokreśloność, chaotyczność i nieokielzanie. Dionizyjskość jest stałym motywem pojawiającym się w pismach Nietzschego aż do samego końca, jest przejawem przepelniającej życie woli ku mocy. Zdaniem Nietzschego w starożytnej Grecji doszło za pośrednictwem muzyki do zjednoczenia tych elementów w postaci klasycznej tragedii greckiej.

Sokrates i Platon

Niestety, wzniosła sztuka grecka została zniszczona. Demontażu jej podstawowych założeń dokonał Sokrates, a dzieła destrukcji dopełnił Platon. Obaj doprowadzili do przekształcenia żywiołu apollińskiego w realność, abstraktyzując pojęcia prawdy, dobra i piękna, podchwyczone następnie przez religię chrześcijańską.

Śmierć Boga i nihilizm

Gott ist tot – Bóg jest martwy. Lecz cóż to oznacza? I co wynika z faktu śmierci Boga? Otóż, zdaniem Nietzschego, człowiek współczesny przestał odczuwać obecność Boga w świecie, w odróżnieniu od ludzi żyjących w Starożytności, czy choćby w Średniowieczu. W owych czasach czyny człowieka pociągały za sobą prędką reakcję Boga w życiu doczesnym, Boga należało się bać tu i teraz. Dziś każdy może liczyć na jego miłosierdzie – rozważa się problem, czy piekło w ogóle istnieje. Komu potrzebny jest jeszcze taki Bóg? Dlatego musiał on przenieść się w sferę abstrakcji, odejść w zapomnienie. Jest jeszcze, lecz jako martwy. Razem z Bogiem usunięta została z naszego świata metafizyczna podstawa wszelkich wartości, od tej pory zawieszono są one w próżni. Nie ma prawdy, ani dobra, nie możemy więcej się do nich odwoływać, bo umarli razem z Bogiem. Człowiek musi na nowo podjąć trud ich stanowienia, lecz zdaniem Nietzschego nie jest w stanie. Jesteśmy bowiem twórcami chorej kultury, opartej właśnie na odwołaniu do Boga, a nie możemy się do niego odwołać, bo jego już nie ma w naszym świecie. Mówiąc językiem teologii – przestaliśmy odczuwać *sacrum*, a nie potrafimy bez niego żyć.

redakcja dzieł Nietzschego, zwłaszcza zaś *Woli Mocy* jest chaotyczna i zawiera wiele fragmentów, które Nietzsche z całą pewnością traktował jedynie jako wstępne szkice. Te fragmenty sprzyjały następnie wulgarnej interpretacji myśli Nietzschego dokonanej przez filozofów nazistowskich, tym bardziej, że Elżbieta nie ukrywała swej sympatii dla Adolfa Hitlera, któremu podarowała pamiątki po bracie: szpadę i laskę; Hitler był też obecny na pogrzebie Elżbiety w 1935 roku. Główną rolę w zawłaszczaniu filozofii Nietzschego na potrzeby nazizmu odegrali Alfred Bäumler i Alfred Rosenberg, natomiast do percepcji Nietzschego jako ideologa faszyzmu przyczyniły się lewicowe nurty filozofii, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej.

Tym łatwiej przyszło uczynić z Nietzschego proroka faszyzmu, że on sam nie zamierzał tworzyć filozofii, która poddawałaby się jednoznacznej interpretacji. Nie mógł też się bronić. Ironią losu nazwisko człowieka, który wielokrotnie w swych pismach wypowiadał się przeciw antysemityzmowi (między innymi z tego powodu zerwał stosunki z siostrą, której mąż był antysemitą, oraz bardzo krytycznie wypowiadał się o Wagnerze) wiąże się z ideologią wrogą Żydom i człowiekowi w ogóle.

Dzieło

Nietzsche był organicznie przeciwny filozofii akademickiej, wykładanej *ex cathedra*. Jego zdaniem sens ma jedynie taka filozofia, którą się przeżywa. W swych dziełach obracał się wciąż wokół kilku fundamentalnych zagadnień, za każdym razem dokonując ich pogłębionej analizy i spoglądając na nie z różnych punktów widzenia. Jednocześnie jego filozofia pełna jest wieloznaczności i podatna na rozmaitość odczytań – takie działanie Nietzschego było głęboko zamierzone, bo fakty nie istnieją, tylko interpretacje.

Odbiór filozofii Nietzschego jest dla polskiego czytelnika trudny również z powodu bariery językowej. Dokładne oddanie intencji Nietzschego wymaga od tłumacza wielkiego zasobu wiedzy filologicznej i rozwiązania poważnych problemów interpretacyjnych. Z dzisiejszego punktu widzenia, niezłe literacko przekłady z początków XX wieku dokonane przez Staffa, Wyrzykowskiego i Berenta są przestarzałe i chcąc zapoznać się z myślą niemieckiego filozofa należy sięgnąć po tłumaczenia współczesne.

Poniższe omówienie filozofii Nietzschego siłą rzeczy jest pobieżne i, w myśl cytowanych wyżej słów filozofa, stanowi raczej próbę interpretacji jego idei.

się fałszywym... Jeśli się zdarzy, że teologowie poprzez „sumienie” książąt (lub ludów) *pomoc* wyciągną nie wątpmy, *co* każdym razem w gruncie się dzieje: wola końca, woli *nihilistyczna* chce dojść do mocy.

10. Wśród Niemców zrozumieją natychmiast, gdy powiem, że filozofię skaziła krew teologów. Proboszcz protestancki jest dziadkiem filozofii niemieckiej, sam protestantyzm jego *peccatum originale*. Definicja protestantyzmu: jednostronny bezwład chrześcijaństwa – i rozumu... Wystarczy wypowiedzieć słowo „Instytut Tybingeński”, by zrozumieć, czym jest w gruncie filozofia niemiecka —podstępna teologią... Szwabi są najlepszymi w Niemczech kłamcami, kłamią niewinnie... Skąd radość, która z wystąpieniem Kanta przejmowała uczony świat niemiecki, składający się w trzech czwartych z pastorskich i nauczycielskich synów, skąd przekonanie niemieckie, które i dziś jeszcze znajduje swe echo, że od Kanta zaczyna się zwrot ku *lepszemu*? Instynkt teologiczny w uczonym niemieckim zgadł, *co* teraz znów umożliwionym zostało... Chyłkowa dróżka do starego ideału stała otworem pojęcie „świata *prawdziwego*”, pojęcie moralności jako esencji świata (– te dwa najzłośliwsze błędy, jakie istnieją!) były teraz znowu, dzięki szczerzaniu mądrym sceptycyzmowi, jeśli nie do dowiedzenia, to jedna nie do *obalenia*... Rozum, prawo rozumu nie sięga tak daleko... Uczyniono z rzeczywistości „pozorność”; świat zgoła *zehlany*, świat tego, co trwa w bycie, uczyniono rzeczywistością... Powodzenie Kanta było tylko powodzeniem teologicznym: Kant był, podobnie jak Luter, podobnie jak Leibniz, jednym hamulcem więcej w niepewnej sobie rzetelności niemieckiej – –.

11. Jeszcze słowo przeciw Kantowi jako moralistcie. Pewna cnota musi być naszym wynalazkiem, naszą osobistą konieczną obroną i konieczną potrzebą: w każdym innym znaczeniu jest jeno niebezpieczeństwem nie jest warunkiem naszego życia, szkodzi mu: cnota tylko z poczucia szacunku dla pojęcia „cnoty”, jak chciał Kant, jest szkodliwa. „Cnota”, „obowiązek”, „dobro w sobie”, dobro o charakterze bezosobistości i powszechnej obowiązkowości – majaki mózgu, w których wyraża się zanik, ostateczne osłabienie życia, chińszczyzna królewiecka. Coś odwrotnego nakazują głębsze prawa utrzymania się i wzrostu: by każdy wynalazł sobie *swój* cnotę, swój kateryczny imperatyw. Każdy lud ginie, jeśli swój obowiązek pomiesza z pojęciem obowiązku w ogóle. Nic nie niszczy głębiej, wewnątrz, niż wszelki obowiązek „nieosobisty”, wszelka ofiara na ołtarzu molocho abstrakcji. – Że też nie odczuto katerycznego imperatywu Kanta jako niebezpiecznego dla życia!... Sam instynkt teologiczny wziął go w obronę! – Każdy postęp, do którego zmusza instynkt życia, ma w przyjemności swój dowód, że jest słusznym postępkem: a każdy nihilista o chrześcijańsko dogmatycznych jelitach rozumiał przyjemność jako zarzut... Co niszczy szybciej niż praca, myślenie, czucie bez konieczności wewnętrznej, bez głęboko osobistego wyboru, bez

przyjemności? niż automat obowiązku? Jest to wprost recepta na *decadence*, aż do idiotyzmu. . . Kant stał się idiotą. – I to był współczesnik Goethego! Ten pająk złowieszczy uchodził za filozofa niemieckiego – uchodzi zań jeszcze! . . . Wystrzegam się mówić, co myślę o Niemcach. . . Nie widziałże Kant w rewolucji francuskiej przejścia z nieorganicznej formy państwa do organicznej? Nie pytałże się, czy nie istnieje zdarzenie, którego by zgoła inaczej wytłumaczyć nie można, chyba tylko moralną zdolnością ludzkości, tak, by raz na zawsze przez nią „dążność ludzkości do dobrego” dowiedziona została? Odpowiedź Kanta: „jest to rewolucja”. Chybający instynkt w ogóle i w szczególności, przeciwnaturalność jako instynkt, niemiecka *decadence* jako filozofia – *jest to Kant!* –

12. Pomijam kilku sceptyków, przyzwoity typ w historii filozofii: lecz reszta nie zna najpierwszych wymogów uczciwości intelektualnej. Czynią pospołu to, co kobiety, wszyscy ci wielcy marzyciele i dziwotwory – uważają „piękne uczucia” już za argumenty, „wzniesione łono” za miech bóstwa, przekonanie za kryterium prawdy. W końcu usiłował Kant, w niewinności „niemieckiej” unaukować tę formę zepsucia, ten brak sumienia intelektualnego pojęciem „rozumu praktycznego”: osobno wynalazł rozum na wypadek, w którym nie ma się co troszczyć o rozum, mianowicie, jeśli odzywa się moralą, wzniosłe żądanie „powinieneś”. Jeśli się zważy, że u wszystkich prawie ludów filozof jest tylko dalszym rozwojem typu kapłańskiego, to nie dziwi nas już to dziedzictwo po kapłanach, fałszerstwo monet na swój własny *użytek*. Jeśli się ma święte zadania, na przykład polepszać ludzi, ratować, wyzwalać, jeśli się bóstwa w sercu nosi, jeśli się jest trąbą zaświatowych rozkazów, to mając taką misję stoi się już poza zakresem wszystkich tylko z rozumem zgodnych ocen wartości – nawet jest się już uświęconym takim zadaniem, nawet już typem wyższego porządku! . . . Cóż obchodzi kapłana wiedza! Stoi on na to zbyt wysoko! – A kapłan dotąd panował! – Ustanawiał pojęcia: „prawdziwy” i „nieprawdziwy”!

13. Nie lekceważmy tego: my sami, my duchy wolne, jesteśmy już „przemianą wszystkich wartości”, wcielonym ogłoszeniem wojny i zwycięstwa wszystkim starym pojęciom o „prawdziwym” i „nieprawdziwym”. Najwartościowsze wnikięcia znajduje się najpóźniej; lecz najwartościowsze wnikięcia to metody. Wszystkie metody, wszystkie założenia tężniejszej naszej wiedzy miały przez tysiąclecia najgłębszą pogardę przeciw sobie: wskutek nich było się wyłączonym z obcowania z „porządnymi” ludźmi, uchodziło się za nieprzyjaciela Boga, za gardzącego prawdą, za „opętańca”. Jako typ naukowy było się czadala. . . Mieliśmy cały patos ludzkości przeciw sobie – jej pojęcie o tym, czym prawda być winna, czym służba dla prawdy być winna: każde „powinieneś” było dotąd przeciw nam zwrócone. . . Nasze obiekty, nasze praktyki, nasze zachowanie się ciche, ostrożne, nieufne – wszystko jej zdało się

zbyt w Rzymie, a interesująca znajomość dość szybko przerodziła się z jego strony w gorące uczucie. Lou wydawała się Nietzschemu osobą bardzo bliską duchowo, niektóre jej wiersze sprawiają wrażenie, jakby były napisane ręką samego filozofa. Do jednego z nich, *Hymnu do życia* Nietzsche napisał muzykę, komponując utwór na chór mieszany i orkiestrę. Lou nie odwzajemniała jednak uczuć Nietzschego i w listopadzie 1882, po nieudanej próbie oświadczyć, doszło między nimi do rozstania, a Lou uciekła z Rée do Berlina.

Choroba i śmierć

Kolejne dzieła Nietzschego zawierają kontynuację i rozwinięcie myśli wyłożonych w Zaratustrze – wydane w 1886 roku *Poza dobrem i złem*, *Z genealogii moralności* (1887), *Zmierzch bożyszczy* oraz *Antychryst* (1888). Owocem roku 1888 są też *Dytyramby dionizyjskie*, poświęcona Wagnerowi rozprawa Nietzschego kontra Wagner i autobiograficzna książka *Ecce homo*, która *post factum* może być odczytana jako zapowiedź tragicznego końca filozofa.

Stale obecna w twórczym życiu Nietzschego choroba rozwijała się bowiem bez przerwy i w końcu przerodziła się w obłąd. Listy Nietzschego z końca grudnia 1888 i początku stycznia 1889 roku wydają się świadczyć o gwałtownej utracie rozeznania w sytuacji i kontakcie z otoczeniem. 3 stycznia 1889 roku nastąpiło załamanie – kilka dni później Nietzsche został przewieziony do kliniki psychiatrycznej w Bazylei, a stamtąd do kliniki w Jenie. W marcu 1890 żyjąca jeszcze matka zabrała go do Naumburga, zaś po jej śmierci w 1897 roku siostra Nietzschego wynajęła dom w Weimarze, gdzie filozof spędził ostatnie 3 lata życia w całkowitym oderwaniu od świata i apatii. Jego ciało spoczywa obok ojca na cmentarzu w Röcken.

Wola Mocy

Książka, wokół której narosło najwięcej kontrowersji jest wydana po śmierci filozofa *Wola mocy*, zbiór dość luźnych notatek, które częściowo wiążą się tematycznie z wcześniejszymi pracami, a częściowo rzeczywiście stanowią mogą wstępną wersję dzieła, które Nietzsche zamierzał napisać. Kontrowersje dotyczą przede wszystkim wykorzystania pewnych haseł filozofii Nietzschego przez ideologię nazistowską, w szczególności zaś pojęcia „nadczołowieka” i „moralności panów”.

Po śmierci Nietzschego prawa do jego spuścizny odziedziczyła opiekująca się nim do końca siostra, Elżbieta Förster-Nietzsche. Jej zasługi dla ocalenia dorobku filozofa są trudne do przecenienia, jednak nie ograniczyła się do przechowania spuścizny po bracie w archiwum. Dokonana z jej inspiracji

Choroba

Pierwsze bóle głowy wystąpiły u Nietzschego w 1856 roku, przybierając w późniejszym okresie formy nawet kilkudniowych ataków migreny, połączonych z wymiotami i bólem oczu, co bezustannie groziło mu ślepotą. Wszelkie próby kuracji nie dawały rezultatu, Nietzsche uznał zresztą, że sam będzie dla siebie najlepszym lekarzem. Podawano wiele przyczyn wyjaśniających podłoże choroby: od obciążenia dziedzicznego (ojciec Nietzschego zmarł na guza mózgu), po zarażenie syfilisem, jednak żadne z nich nie zyskało powszechnej akceptacji. W 1876 roku Nietzsche zmuszony był prosić na uniwersytecie o urlop zdrowotny, a w 1879 roku, już po ukazaniu się *Ludzkie, Arcyludzkie*, ostatecznie zrezygnował z profesury. Jako byłemu profesorowi przysługiwało mu prawo do dożywotniej pensji, co pozwalało na skromne, lecz niezależne życie.

Tako rzecze Zaratustra

Po złożeniu profesury Nietzsche bez przerwy zmieniał miejsce pobytu, często kilkakrotnie w ciągu roku. Poszukując odpowiedniego dla siebie mikroklimatu przemierzał całe Włochy, to znów wracał do Niemiec i Szwajcarii, a jedynym w miarę stałym miejscem pobytu było Sils-Maria nad jeziorem Silvaplana w dolinie Inny w Szwajcarii. To tam przeżył wizję wiecznego powrotu, która jest jednym z podstawowych pojęć jego filozofii, tam też naszła go myśl o przewartościowaniu wszelkich wartości. W latach 1880-1882 wyszły kolejno książki: *Wędrowiec i jego cień*, *Jutrzenka* oraz *Wiedza radosna* będące efektem zmagania Nietzschego z problemami śmierci Boga, nihilizmu, krytyki chrześcijaństwa i koncepcją nadczłowieka jako ich przewycięzenia. Wreszcie, w roku 1883 ukazała się „książka dla wszystkich i dla nikogo” – *Tako rzecze Zaratustra, opus vitae* Nietzschego. W zasadzie nie ma w tej książce nic nowego, wszystkie wyłożone w niej myśli zawarte są już w wcześniejszych dziełach, ale użyty tu język uczynił z niej, w zgodnej opinii filologów, jedno z najwybitniejszych osiągnięć literatury niemieckiej. W przejmujących do głębi strofach Nietzsche-Zaratustra naucza o nadczłowieku, śmierci Boga i wiecznym powrocie – nigdy przedtem i nigdy potem filozofia nie była przekazywana w taki sposób.

Lou Andreas-Salomé

Jeszcze jeden epizod z życia Nietzschego wart jest odnotowania – gwałtowna i namiętna miłość do Lou Andreas-Salomé, córki rosyjskiego arystokraty. Nietzsche poznał ją wiosną 1882 roku, w trakcie jednej ze swych wi-

niegodnym i zasługującym na wzgardę. – Można by w końcu z pewną słuszością spytać się, czy to właściwie nie smak estetyczny utrzymywał ludzkość w tak długiej ślepotcie: żądała ona od prawdy malarskiego efektu, żądała tak samo od poznającej by silnie działała na zmysły. Nasza skromność sprzeciwiała się najdłużej jej smakowi. . . O, jakże to odgadły, te jęzory Boga –

14. Nauczylismy się czego innego. Staliśmy się pod każdym względem skromniejsi. Nie wywodzimy już człowieka z „ducha”, z „boskości”, postawiliśmy go na powrót między zwierzętami. Uważamy go za zwierzę najsilniejsze, bo jest najchytrzejszym: następstwem tego jest jego duchowość. Z drugiej strony bronimy się przeciw próżności, która by i tutaj znów odezwać się mogła: jakoby człowiek był wielkim ukrytym zamysłem zwierzęcego rozwoju. Nie jest on zgoła koroną stworzenia, każde stworzenie jest, obok niego, na równym stopniu doskonałości. . . I twierząc to, twierdzimy jeszcze za wiele: człowiek jest, względnie wzięwszy, najbardziej nieudany zwierzęciem, najchorowitszym, najniebezpieczniej precz od swoich instynktów zbłąkanym – oczywiście, z tym wszystkim, także najbardziej zajmującym! – Co się tyczy zwierząt, to najpierw Kartezjusz, z czcigodną śmiałością ważył się na myśl rozumienia zwierząt jako machina: cała nasza fizjologia wysiła się na dowód tego twierdzenia. Nie usuwajmy też, logicznie biorąc, na bok człowieka, jak jeszcze Kartezjusz czynił: co w ogóle dziś o człowieku pojęto, to tyle właśnie, że się go rozumie jako maszynę. Niegdyś nadawano człowiekowi, jako jego wyprawę ze strony wyższego porządku, „wolną wolę”: dziś odebraliśmy mu nawet wolę, w tym znaczeniu, że przez to żadnej władzy rozumieć już nie wolno. Stare słowo „wola” służy tylko do określenia wyniku, rodzaju indywidualnej reakcji, która koniecznie następuje po mnóstwie części z sobą sprzecznych, częścią zgodnych podnieć: wola już nie „działa”, już nie „porusza”. . . Niegdyś widziano w świadomości człowieka, w „duchu”, dowód wyższości jego pochodzenia, jego boskości; by człowieka uzupełnić, radzono mu, na sposób zółwia, wciągnąć w siebie zmysły, zaprzestać obcowania z ziemskością, zrzucić doczesną powłokę: potem pozostałaby po nim treść główna, jego „czysty duch”. Także co do tego zorientowaliśmy się lepiej: uświadamianie sobie, „duch”, uchodzi u nas właśnie za objaw względnej niedoskonałości organizmu, jako doświadczenie, macanie, chybianie, jako mozół, przy którym niepotrzebnie dużo zużywa się siły nerwowej – przeczymy, że cośkolwiek da się doskonałym uczynić, dopóki się jeszcze uświadamia. „Duch czysty” jest czystą głupotą: odliczmy system nerwowy i zmysły, „doczesną powłokę”, a pominiemy w rachunku *siebie* – nic więcej! . .

15. Ani moralność, ani religia nie styka się w chrześcijaństwie z żadnym punktem rzeczywistości. Same urojone przyczyny („Bóg”, „dusza”, „ja”, „duch”, „wolna wola” – lub też „niewolna”); same urojone skutki („grzech”, „zbawienie”, „łaska”, „kara”, „odpuszczenie grzechu”). Obcowanie urojonych

istot („Bóg”, „duchy”, „dusze”); urojona wiedza przyrodnicza (antropocentryczna; zupełny brak pojęcia przyczyn przyrodzonych); urojona psychologia (same samonieporozumienia, interpretacje przyjemnych lub nieprzyjemnych uczuć ogólnych, na przykład stanów *nervi sympathici*, z pomocą mowy znakowej religijno-moralnej idiosynkrazji – „kara”, „wyrzut sumienia”, „pokusa diabelska”, „bliskość Boga”); urojona teleologia („Królestwo Boże”, „Sąd Ostateczny”, „życie wieczne”). — Ten świat czystej fikcji różni się tym bardzo z ujmą dla siebie od świata marzenia, że ten ostatni odzwierciedla rzeczywistość, podczas gdy *on* rzeczywistość fałszuje, odziera z wartości, zaprzecza jej. Zanim wynaleziono dopiero pojęcie „natura”, jako przeciwstawienie pojęcia „Bóg”, musiało „naturalny” być słowem na „godny pogardy” – ów cały świat fikcji ma swe korzenie w nienawiści do naturalności (rzeczywistość!), jest on wyrazem głębokiego niesmaku z tego, co rzeczywiste. . . Lecz to wyjaśnia wszystko. Kto jedynie ma powody wyklamywania się z rzeczywistości? Kto z jej powodu cierpi. Lecz cierpieć z powodu rzeczywistości znaczy być unieszczęśliwioną rzeczywistością. . . Przewaga uczuć nieprzyjemnych nad przyjemnymi jest przyczyną owej fikcyjnej moralności i religii: taka przewaga jest formułą na *decadence*. . .

16. Do podobnego wniosku zmusza krytyka chrześcijańskiego pojęcia Boga. – Lud, który jeszcze w siebie sam wierzy, ma też jeszcze swego własnego Boga. Czci w nim warunki, dzięki którym jest górą, swoje cnoty, przetrzuca swą radość z siebie, swe poczucie mocy w istotę, której dziękczynić za to można. Kto bogaty, chce oddawać; lud dumny potrzebuje Boga, by składać ofiary. . . Religia, w obrębie takich założeń, jest formą wdzięczności. Jest się wdzięcznym za samego siebie: po to potrzebuje się Boga. Taki Bóg musi umieć pomagać i szkodzić, musi umieć być przyjacielem jak wrogiem – podziwia się go w dobrym jak w złym. Przeciwnaturalna kastracja Boga na Boga dobra tylko leżałaby tu poza obrębem wszelkiej pożądaności. Potrzebuje się Boga złego tak jak dobrego: zawdzięcza się przecie istnienie własne chyba nie tolerancji, nie życzliwości dla ludzi. . . Cóż by zależało na Bogu, który by nie znał gniewu, zemsty, zawiści, szyderstwa, chytrości, gwałtu? Który by nie znał może nawet zachwycających *ardeurs* zwycięstwa i zniszczenia? Nie rozumiano by takiego Boga: po cóż by go mieć? – Oczywiście: jeśli lud ginie; jeśli czuje, że wiara w przyszłość, jego nadzieja wolności ostatecznie znika; jeśli poddanie uświadamia się mu jako pierwszy pożytek, cnoty poddańcze jako warunki utrzymania się, wówczas musi się i Bóg jego zmienić. Staje się on teraz potulny, bojaźliwy, skromny, doradza „spokój duszy”, zaprzestania nienawiści, pobłażanie, nawet „miłość” dla przyjaciela i wroga. Moralizuje ustawicznie, włazi w jaskinię każdej cnoty prywatnej, staje się Bogiem każdego, osobą prywatną, kosmopolitą. . . Niegdyś przedstawiał jakiś lud, siłę jakiegoś ludu, wszystko, co w duszy jakiegoś ludu było agresywne

często idzie w parze z „niskimi” pobudkami twórcy – samolubstwem, zawiścią, pragnieniem sławy, zadufaniem w sobie, autorytaryzmem i małostkowością. Między innymi te cechy Wagnera, oprócz późniejszej jego sympatii dla nacjonalizmu i chrześcijaństwa oraz panującego w otoczeniu artysty antysemityzmu, doprowadziły do rozstania Nietzschego z kompozytorem pod koniec 1876 roku.

Lecz w roku 1873 Nietzsche był jeszcze pod wpływem Wagnera-reformatora muzyki i koncentrował się na krytyce współczesnej sobie kultury. Po zwycięstwie nad Francją w 1870 roku i utworzeniu w 1871 Cesarstwa Niemieckiego, Niemcy ogarnęła narodowa euforia. Nietzsche stanowczo przeciwstawiał się powszechnemu przekonaniu o rzekomym zwycięstwie „wyższej” kultury niemieckiej nad „niższą” francuską, konstatując jednocześnie symptomy powszechnego upadku sił duchowych kultury zachodniej. W swych późniejszych dziełach określał tę sytuację mianem nihilizmu; na razie ograniczał się do wskazywania na negatywne dla kultury zjawiska: postępującą specjalizację w nauce, wzrost znaczenia prasy jako środka komunikacji społecznej i schematyczność systemu edukacji. Efektem tych zjawisk społecznych był wykształcony *filister* – odpowiednik dzisiejszego „konsumenta kultury”. Zarysowane tu problemy Nietzsche przedstawił dokładniej w *Niewczesnych rozważaniach*, które powstały w latach 1873-1874. Warto pamiętać o tych analizach, gdy dziś dyskutujemy nad sposobami manipulacji społecznej za pośrednictwem mediów.

Ludzkie, Arcyludzkie

Zerwanie z Wagnerem miało jednak głębsze podłoże niż niezgodność charakterów, było wynikiem przemian, jakie zachodziły w samym Nietzschem. W lipcu 1876, jeszcze w czasie poprawnych stosunków z Wagnerem, Nietzsche napisał pierwsze zdania *Ludzkie, Arcyludzkie*, dzieła, w którym wstępnie zarysowane są niektóre koncepcje, rozwijane następnie w późniejszych pracach – krytyka teorii poznania, języka i chrześcijaństwa. *Ludzkie, Arcyludzkie* jest też pierwszym dziełem, w którym Nietzsche wypróbował formę aforizmu. Wszystkie jego książki napisane po 1878 roku mają postać zbioru luźnych, choć pogrupowanych tematycznie, krótkich ustępów, czy wręcz pojedynczych zdań. Było to z jednej strony wynikiem poszukiwań najbardziej odpowiedniej dla wyrażenia myśli formy literackiej, a z drugiej koniecznością – w tym właśnie okresie nasiliły się objawy choroby, na którą Nietzsche cierpiał właściwie od wczesnej młodości.

Rok następny, 1867, był jednym z przełomowych w życiu Nietzschego. Zapoznał się wtedy z filozofią Artura Schopenhauera zawartą w dziele *Świat jako wola i przedstawienie*. Schopenhauerowska analiza moralności, jednostki wybitnej, znaczenia sztuki w życiu człowieka, pobrzmiewa echem w całym dziele Nietzschego, nawet gdy doszedł już do wniosku, że Schopenhauer się mylił i występował przeciw jego filozofii. Dzięki Schopenhauerowi Nietzsche zbliżył się też do Ryszarda Wagnera.

Bazylea

Po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej, dzięki zabiegom nauczyciela i przyjaciela Fryderyka Ritschla, któremu zawdzięczał też wcześniejsze publikacje, Nietzschemu zaofiarowano profesurę nadzwyczajną na katedrze filologii klasycznej uniwersytetu w Bazylei. Oficjalne powołanie nastąpiło w lutym 1869, na podstawie już opublikowanych prac, jeszcze przed doktoratem, bez egzaminów i formalności habilitacyjnych. Nietzsche miał wtedy niecałe 25 lat. 28 maja 1869 wygłosił swój pierwszy wykład: Homer i filologia klasyczna. Była to błyskotliwa kariera, jednak Nietzsche czuł już, że jego przeznaczeniem jest filozofia. W 1872 roku ukazała się książka *Narodziny tragedii, czyli hellenizm i pesymizm*, w której wyłożył swe koncepcje dionizyjskości i apolińskości. Książka przeszła bez echa, jeśli nie liczyć paru jawnie negatywnych recenzji, których efektem była utrata zaufania studentów do Nietzschego jako filologa. Mimo niewątpliwego talentu wykładowcy (potwierzonego we wspomnieniach), w semestrze 1872/1873 na jego wykłady uczęszczało zaledwie dwóch słuchaczy. Jedyne wsparcie przyszło ze strony Ryszarda Wagnera. W Bazylei zawiązał też Nietzsche przyjaźń z młodszym od siebie o pięć lat Paulem Rée – wywarła ona pewien wpływ na jego twórczość i znacznie więcej na życie osobiste.

Ryszard Wagner

Nietzsche poznał Wagnera jeszcze w Lipsku, w roku 1868, we wczesnym okresie swojej fascynacji muzyką kompozytora. Połączyła ich właśnie miłość muzyki i zainteresowanie filozofią Schopenhauera. Wagner był poruszony przeciwstawieniem apolińskości-dionizyjskości i opinie swe wyraził w liście do Nietzschego.

Lata 1873-1876 to okres silnego zbliżenia z Wagnerem. Nietzsche był stałym gościem u Wagnerów w Tribschen, a po ich przeprowadzce również w Bayreuth. Mógł przyglądać się z bliska życiu wielkiego kompozytora i analizować motywy jego postępowania, a te były dalekie od ideałów chrześcijańskich. Wagner stanowił w oczach Nietzschego dowód, że wielkie dzieło

i spragnione mocy: teraz jest tylko jeszcze dobrym Bogiem. . . Rzeczywiście, nie ma innej alternatywy dla Bogów: albo są oni wolą mocy – i tak długo będą bogami ludów – albo niemocą mocy – i wówczas z konieczności stają się dobrymi. . .

17. Gdzie w jakiegokolwiek formie wola mocy ginie, istnieje też każdym razem fizjologiczne cofanie się, *decadence*. Bóstwo tej *decadence*, obrzezane na punkcie swych najbardziej męskich cnót i popędów, staje się teraz koniecznie Bogiem fizjologicznie cofniętych, słabych. Zwiąż oni siebie samych *nie* słabymi, zwiąż siebie „dobrymi” . . . Rozumie się, już bez potrzeby wskazówki, w jakich dopiero chwilach dziejów możliwą się staje dualistyczna fikcja dobrego i złego Boga. Tym samym instynktem, którym podbici ściągają Boga swego na szczybel „dobra w sobie”, wykreślają też z Boga swych zwycięzców dobre właściwości; mszczą się na swych panach tym, że przerabiają na diabła ich Boga. – Bóg dobry, jak i diabeł: obaj wyrodki *decadence*. – Jak można dziś jeszcze ustępować tak bardzo prostoduszności teologów chrześcijańskich, by wyrokować z nimi, że rozwój pojęcia Boga z „Boga Izraela”, „Boga ludowego”, w Boga chrześcijańskiego, w zbiorowe pojęcie wszelkiego dobra, jest *postępem*? – Lecz nawet Renan to czyni. Jak gdyby Renan miał prawo do prostoduszności! Przeciwnieństwo rzuca się przeciw w oczy. Jeśli założenia wznoszącego się życia, jeśli wszelką siłę, waleczność, władczość, dumę wyłączy się z pojęcia Boga, jeśli krok za krokiem zniży się on do symbolu łaski dla znużonych, deski ratunku dla wszystkich tonących, jeśli stanie się Bogiem ludzi biednych, Bogiem grzeszników, Bogiem chorych *par excellence*, a tytuł „Zbawca”, „Odkupiciel” niejako ostanie się, jako tytuł boski w ogóle: o czymże mówi taka przemiana? Taka redukcja boskości? – Oczywiście: „Królestwo Boże” większe się przez to stało. Niegdyś miał Bóg tylko swój lud, swój lud „wybrany”. Tymczasem poszedł, zupełnie jak sam lud jego, w obcyznię, na wędrowną, nigdzie odtąd już nie zagrzeł miejsca: a w końcu wszędzie czuł się w domu, stał się wielkim kosmopolitą – aż „wielką liczbę” i pół ziemi przeciągnął na swoją stronę. Lecz Bóg „wielkiej liczby”, demokratą wśród bogów, nie stał się mimo to dumnym bogiem pogańskim: pozostał Żydem, pozostał Bogiem zakątyw, Bogiem wszystkich nor i miejsc ciemnych, wszystkich niezadowolonych zaułków całego świata! . . . Jego królestwo światowe jest nadal, jak przedtem, królestwem podziemnym, szpitalem, państwem *southern*, państwem getta. . . A on sam tak blady, tak słaby, taki *decadent*. . . Nawet najbledsi z bledych jeszcze nim owdładnęli, panowie metafizyki, albinosy pojęciowe. Osnuwali go tak długo wokoło, aż, zahipnotyzowany ich ruchami, sam stał się pajakiem, sam metafizykiem. Teraz on znów świat wysnuwał z siebie – *sub specie Spinozae* – teraz przekształcał się w coraz większą cienkość i bladeść, stał się „ideałem”, stał się „czystym duchem”, stał się absolutum, stał się „rzeczą samą w sobie” . . . Upadek Boga: Bóg stał się „rzeczą samą w sobie” . . .

18. Chrześcijańskie pojęcie Boga – Bóg jako Bóg chorych, Bóg jako pajak, Bóg jako duch – jest jednym z najbardziej zepsutych pojęć Boga, jakie osiągnięto na ziemi; jest ono może nawet miernikiem stanu głębi w zstępującym rozwoju typu boskiego. Bóg wyrodzony w sprzeczność z życiem, zamiast być jego przejaśnieniem i wieczystym „Tak”! W Bogu wrogość zapowiedziana życiu, naturze, woli życia! Bóg formułą dla każdego oczernienia „tego świata”, dla każdego kłamstwa o „zaświecie”! W Bogu ubóstwiona nicość, wola nicości uświęcona!...

19. Że silne rasy Europy północnej nie odepchnęły od siebie Boga chrześcijańskiego, to zaprawdę nie przynosi chwały ich uposażeniu religijnemu, nie mówiąc już o smaku. Z takim chorowitym i osłabłym ze starości wyrodkiem *decadence*, winny były koniecznie dojść do końca. Lecz kłątwa ciąży na nich za to, że z nim nie doszły do końca: choroba, starość, sprzeczność weszły im we wszystkie instynkty – żadnego już odtąd Boga nie stworzyły! Dwa tysiąclecia prawie i ani jednego nowego Boga! Lecz wciąż jeszcze i jak coś stałego, jak *ultimatum* i *maximum* tworzącej bogów siły, człowieczego *creator spiritus*, ten politowania godny Bóg chrześcijańskiego monototeizmu! Ten mieszańczy twór upadku z zera, pojęcie i sprzeczność, w którym wszystkie instynkty *decadence*, wszystkie tchórzostwa i znużenia duszy mają swe uświęcenie! –

20. Potępieniem chrześcijaństwa nie chciałbym dopuścić się krzywdy na pokrewnej religii, która ilością wyznawców nawet przeważa: na *buddyzmie*. Obie łączą się z sobą jako religie nihilistyczne – są religiami *decadence* – obie są oddzielone od siebie w najprzedziwniejszy sposób. Że je teraz porównywać można, za to krytyk chrześcijaństwa głęboko jest wdzięczny uczonemu indyjskim. – Buddyzm jest stokroć realistyczniejszy od chrześcijaństwa – ma we krwi dziedzictwo przedmiotowego i chłodnego stawiania problemów, zjawia się p o trwającym lat setki ruchu filozoficznym; w chwili pojawienia się jego jest pojęcie „Bóg” już uprzątnięte. Buddyzm jest jedyną właściwie pozytywistyczną religią, jaką nam ukazuje historia, nawet jeszcze w swojej teorii poznania (surowym fenomenalizmie), nie mówi już „walka przeciw grzechowi”, lecz, zgoła rzeczywistości przyznając prawo, „walka przeciw *cierpieniu*”. Ma on – to różni go głęboko od chrześcijaństwa – samooszustwo pojęć moralnych już za sobą – stoi, mówiąc moim językiem, poza dobrem i złem. – Oto dwa fakty fizjologiczne, na których spoczywa i które ma na oku: po pierwsze nadmierna pobudliwość wrażliwości, która wyraża się jako wyrafinowana zdolność cierpienia, potem przeduchowienie, nazbyt długie życie w pojęciach i procedurach logicznych, wśród którego instynkt osobowy doznał szkody z korzyścią „bezosobistości” (jedno i drugie stany, które przynajmniej niektórzy moi czytelnicy, „przedmiotowi”, jak ja sam, znać będą z doświadczenia). Na gruncie tych fizjologicznych warunków powstała depresja: przeciw niej Budda zabiega higienicznie. Stosuje przeciw niej życie na wolnym powietrzu,

Życie

Młodość i studia

Fryderyk Wilhelm Nietzsche, (ur. 15.10.1844 r. w Röcken w okolicach Naumburga, zm. 25.08.1900 r. w Weimarze), niemiecki filozof, filolog klasyczny i pisarz. Był synem luterańskiego pastora i wychowywał się w rodzinie o protestanckiej religijności – którą cechowało zamknięcie w ramy indywidualistycznej interpretacji Biblii (*Sola Scriptura*) – i być może ta właśnie protestancka religijność reprezentowała archetyp moralności niewolniczej, tak wnikliwie analizowanej później przez Nietzschego. Od śmierci ojca w 1849 roku domem Nietzschego zarządzały kobiety: babka, ciotki, młoda jeszcze matka i siostra Elżbieta; w 1850 roku cała rodzina przeniosła się do Naumburga, gdzie Nietzsche rozpoczął naukę w szkole miejskiej i kontynuował ją w gimnazjum przykatedralnym. W tym czasie samodzielnie zapoznał się z klasyczną muzyką niemiecką – dziełami Bacha, Händla, Mozarta, Haydna, Beethovena i Schuberta. Po ukończeniu gimnazjum zaproponowano mu bezpłatne kontynuowanie edukacji w Pforcie, gdzie odkrył poezję zupełnie nieznanego w tym czasie w Niemczech Hölderlina i uznał jego wielkość.

W październiku 1864 Nietzsche zapisał się na uniwersytet w Bonn. Podjął tam studia w zakresie filologii klasycznej, teologii, historii kościoła i sztuki; po dwóch semestrach przeniósł się jednak do Lipska, gdzie jeszcze jako student stał się uznanym filologiem klasycznym i współtworzył publiczne towarzystwo filologiczne. W 1866 ukazały się drukiem jego pierwsze publikacje – rozważania o poezji Teognisa z Megary i komentarze do Arystotelesa.

instynktem zemsty, dla którego żaden środek nie jest dość jadowity, tajny, podziemny, *malý* – zwę je jedną nieśmiertelną, hańbiącą plamą na ludzkości... I liczy się czas od *dies nefastus*, w którym zaczęła się ta fatalność – od pierwszego dnia chrześcijaństwa! – Czemuż raczej nie od jego ostatniego? – Od *dziś!* – Przemiana wszystkich wartości!...

życie wędrowne; umiarkowanie i wybór w pożywieniu; ostrożność względem wszystkich *spirituosa*; tak samo ostrożność przed afektami, które żółć wzburzają, rozpalają krew: żadnej troski, ani o siebie, ni o innych. Wymaga wyobrażeń, które ani nie darzą spokojem, ani rozweselają – wynajduje środki do odwyknięcia od innych. Rozumie dobroć, dobrotliwość jako sprzyjające zdrowiu. Modlitwa jest wykluczona, tak samo jak asceza; żadnego kategorycznego rozkazu, żadnego musu w ogóle, nawet w obrębie zgromadzenia klasztornego (można znów wystąpić). To wszystko miały być środki do wzmocnienia owej nadmiernej pobudliwości. Właśnie dlatego nie wymaga też walki z myślącymi inaczej; nauka jego przeciw niczemu nie broni się więcej, niż przeciw uczuciu zemsty, odrazy, *ressentiment* („nieprzyjaźni nie-przyjaźni kresu nie położy”: wzruszający refren całego buddyzmu...). I to słusznie: właśnie te afekty byłyby zgoła niezdrowe ze względu na główny cel dietetyczny. Znużenie duchowe, które on zastaje i które wyraża się w zbyt wielkiej „przedmiotowości” (to znaczy w osłabieniu interesu indywidualnego, w stracie na wadze, na „egoizmie”), zwalcza, sprowadzając ściśle i najbardziej duchowe interesy do *osoby*. W nauce Buddy egoizm staje się obowiązkiem: owo „jednego potrzeba”, owo „jak ty uwolnisz się od cierpienia” reguluje i ogranicza całą dietę duchową (należy może przypomnieć sobie owego Ateńczyka, który również z czystą „naukowością” wiódł wojnę, Sokratesa, który egoizm osobisty także w państwie problemów podniósł do morału).

21. Warunkiem buddyzmu jest bardzo miękki klimat, wielka łagodność i swoboda obyczajów, brak militarystyki; i to, że ruch miał swe ognisko wśród wyższych, a nawet uczonych, stanów. Pragnie się pogody, ciszy i niezwywania żadnych życzeń, jako celu najwyższego i osiąga się ten cel. Buddyzm nie jest religią, w której się tylko do doskonałości dąży: doskonałość jest wypadkiem normalnym. – W chrześcijaństwie występują na czoło instynkty podbitych i uciśnionych: najniższe stany szukają w nim zbawienia. Kazuistykę grzechu, samokrytykę, inkwizycję sumienia uprawia się tu jako zajęcie, jako środek przeciw nudzie; podtrzymuje się tu nieustannie afekt dla mocarza, zwanego „Bogiem” (mocą modlitwy); to co najwyższe uchodzi tu za nieosiągalne, za dar, za „łaskę”. Brak tu także jawności; kryjówka, ciemna przestrzeń jest chrześcijańska. Ciało jest tu w pogardzie, higienę uchyla się jako zmysłowość; Kościół broni się nawet przeciw czystości (pierwszym zarządzeniem chrześcijańskim po wypędzeniu Maurów było zamknięcie kąpeli publicznych, których sama Kordowa posiadała 270). Chrześcijański jest pewien zmysł okrucieństwa względem siebie i innych; nienawiść do inaczej myślących; wola przesładowania. Posępne i wstrząsające wyobrażenia stoją na pierwszym planie; najbardziej pożądane, najwyższymi mianami określone stany to epilepsydy; wybiera się tak dietę, by sprzyjała zjawiskom chorobliwym i przedrażniała nerwy. Chrześcijańską jest wrogość śmiertelna przeciw panom ziemi, przeciw

„dostojnym” – a zarazem ukryte, tajemne współzawodnictwo (pozostawia się im „ciało”, chce się tylko „duszy” . . .). Chrześcijańską jest nienawiść do *ducha*, do dumy, odwagi, wolności, libertinage ducha; chrześcijańską jest nienawiść do zmysłów, do radości zmysłów, do radości w ogóle. . .

22. Chrześcijaństwo, opuściwszy swój pierwszy grunt, stany najniższe, podziemie starożytnego świata, wyszedłszy po moc między ludy barbarzyńskie nie miało tu już jako założenia ludzi znużonych, lecz wewnętrznie zdziwiałych i rozdzierających się ludzi – człowieka silnego, lecz nieudanego. Niezadowolenie z siebie, cierpienie z powodu siebie nie jest tu, jak u buddystów, nadmierną pobudliwością i zdolnością cierpienia, raczej odwrotnie, przemożnym pragnieniem zadawania bólu, pragnieniem upustu wewnętrznego napięcia we wrogich działaniach i wyobrażeniach. Chrześcijaństwo potrzebowało barbarzyńskich pojęć i wartości, by stać się barbarzyńców panem: takimi są ofiara z pierwocin, picie krwi przy komunii, pogarda ducha i kultury; tortura w każdej formie, zmysłowa i niezmysłowa; wielki przepych kultu. Buddyzm jest religią dla ludzi późnych, dla ras dobrotliwych, łagodnych, przeduchowionych, które zbyt łatwo ból odczuwają (Europa będzie jeszcze długo niedojrzała doń): jest on sprowadzeniem ich na powrót do spokoju i pogody, do diety w rzeczach duchowych, do pewnego zahartowania w cielesnych. Chrześcijaństwo chce stać się panem zwierząt drapieżnych; środkiem jego jest uczynić je chorymi, osłabienie jest chrześcijańską receptą celem oswojenia, celem „cywilizacji”. Buddyzm jest religią dla końca i znużenia cywilizacji, chrześcijaństwo nie zastaje jej nawet jeszcze – stwarza ją przy sposobności.

23. Buddyzm, by rzec raz jeszcze, jest stokroć chłodniejszy, prawdziwszy, bardziej przedmiotowy. Nie potrzebuje on już uprzystajniać sobie swego bólu, swej zdolności cierpienia przez interpretację grzechu – mówi jeno, co myśli, „cierpię”. Natomiast dla barbarzyńcy cierpienie nie jest w sobie niczym przystojnym: potrzebuje on najpierw wyłożenia, by przyznać się przed sobą, że cierpi (instynkt jego zwraca go raczej do zaprzeczenia cierpienia, do cichego znoszenia). Słowo „diabeł” było tu dobrodziejstwem: miało się przepotężnego i straszliwego wroga – nie trzeba się było wstydzić, że się cierpi z powodu takiego wroga. – Chrześcijaństwo ma na dnie kilka subtelnosci, które są własnością Wschodu. Przede wszystkim wie ono, że jest to zgoła w sobie obojętne, czy coś jest prawdziwe, lecz rzeczą najwyższej wagi, o ile się je za prawdziwe uważa. Prawda i *wiara*, że coś jest prawdziwe: dwa zgoła rozbieżne światy interesów, prawie światy przeciwstawne – dochodzi się do jednego i do drugiego zasadniczo różnymi drogami. Wiedzieć o tym – to czyni na Wschodzie niemal mędrca: tak to rozumieją bramini, tak to rozumie Plato, tak każdy uczeń ezoterycznej mądrości. Jeśli na przykład w wierze, że się jest wybawionym z grzechu, leży szczęście, to uprzednim warunkiem tego *nie* jest, by człowiek był grzeszny, lecz by czuł się grzesznym. Jeśli jednak w ogóle

tryumf życia! Lecz wielkie „Tak” mówione wysokim, pięknym, zuchwałym rzeczom! . . . I Luter przywrócił znowu Kościół: napadał nań. . . Odrodzenie – zdarzenie bez sensu, wielkie na próżno! – Ach, ci Niemcy, ileż nas oni już kosztowali! Na próżno – to zawsze było dzieło Niemców. – Reformacja, Leibniz, Kant i tak zwana filozofia niemiecka; wojny o „wolność”; państwo – każdym razem jedno na próżno względem czegoś, co już istniało, co już *niewpowetowane*. . . To są moi wrogowie, wyznają, ci Niemcy: pogardzam w nich wszelkim rodzajem niechlujstwa w pojęciach i wartościach, tchórzostwa przed każdym rzetelnym „Tak” i „Nie”. Prawie od tysiąca lat skłaczali i płatali wszystko, czego swymi dotknęli palcami, mają na sumieniu wszystkie połowiczności – trzy-ósmości! – na które Europa jest chora – mają też na sumieniu najniechlujniejszy rodzaj chrześcijaństwa, jaki istnieje, najbardziej nieuleczalny, najbardziej nie do zbicia, protestantyzm. . . Jeśli się nie uporamy z chrześcijaństwem, Niemcy będą temu winni. . .

62. – Oto jestem u końca i wygłaszam swój wyrok. Potępiam chrześcijaństwo, podnoszę przeciw Kościołowi chrześcijańskiemu najstrasliwsze ze wszystkich oskarżeń, jakie kiedykolwiek oskarżyciel jaki miał na ustach. Jest mi on największym zepsuciem, jakie pomyśleć sobie można, wola jego dążyła do ostatecznego, jakie tylko być może, zepsucia. Kościół chrześcijański nie pozostawił żadnej rzeczy nietkniętej swym zepsuciem, uczynił z każdej wartości bezwartości, z każdej prawdy kłamstwo, z każdej rzetelności nikczemność duchową. Ważcież mi się jeszcze mówić o jego „humanitarnych” błogosławieństwach! Usunięcie jakiejś niedoli sprzeciwiało się jego najgłębszemu pożytkowi, żył niedolami, stwarzał niedole, by siebie uwiecznić. . . Robak grzechu na przykład: dopieroż tą niedolą wzbogacił Kościół ludzkość! – „Równość dusz przed Bogiem”, ten fałsz, ten pretekst do *rancune* wszystkich podle myślących, ten pojęciowy materiał rozsadzający, który stał się w końcu rewolucją, ideą nowoczesną i zasadą upadku całego porządku społecznego – jest chrześcijańskim dynamitem. . . „Humanitarne” błogosławieństwa Kościoła! Wyhodować z *humanitas* sprzeczność z sobą, sztukę samogwałtu, wolę kłamstwa za wszelką cenę, odrazę, pogardę dla wszystkich dobrych i rzetelnych instynktów! Toż to mi błogosławieństwa chrześcijaństwa! – Pasożytnictwo jako jedyna praktyka Kościoła; blednica i „świętość” jego ideałów, wypijająca wszelką krew, wszelką miłość, wszelką nadzieję w życie; zaświat jako wola zaprzeczenia wszelkiej rzeczywistości; krzyż jako znak poznawczy dla najpodziemniejszego sprzysiężenia, jakie kiedykolwiek istniało – przeciw zdrowiu, piękności, pomyślnemu udaniu się, waleczności, duchowi, dobroci duszy, przeciwko samemu życiu. . . To wieczyste oskarżenie chrześcijaństwa wypisać chcę na wszystkich ścianach, gdzie tylko ściany istnieją – mam litery, które i ślepych widzącymi uczynią. . . Zwę chrześcijaństwo jednym wielkim przekleństwem, jednym wielkim najwewnętrzniejszym zepsuciem, jednym wielkim

ściół właśnie z pomocą niemieckich mieczy, niemieckiej krwi i odwagi stoczył swą śmiertelną wojnę przeciw wszystkiemu, co dostojne na ziemi! W miejscu tym nasuwa się moc bolesnych pytań. Niemieckiej szlachty brak prawie w dziejach wyższej kultury: zgadujecie powód... Chrześcijaństwo, alkohol – dwa wielkie środki zepsucia... W istocie rzeczy nie powinno być wyboru, wobec islamu i chrześcijaństwa, równie jak wobec Araba i Żyda. Rozstrzygnięcie jest dane: nikomu nie jest dane do woli tu jeszcze wybierać. Albo jest się czandalą, albo się nim *nie* jest... „Wojna z Rzymem na noże! Pokój, przyjaźń z islamem”: tak czuł, tak czynił wielki duch wolny, geniusz wśród niemieckich cesarzy, Fryderyk Drugi. Jak to? Musiż Niemiec być w pierw geniuszem, w pierw duchem wolnym, by czuć przyzwoicie? Nie pojmuję, jak Niemiec mógł kiedykolwiek czuć po chrześcijańsku...

61. Rzecz konieczna dotknąć tu stokroć jeszcze Niemcowi boleśniejszego wspomnienia. Niemcy pozbawili Europę ostatniego wielkiego żniwa kultury, jakie Europa zebrać mogła – odrodzenia. Rozumiecież wreszcie, *chcecież* rozumieć, czym było odrodzenie? Przemianą wartości chrześcijańskich, z pomocą wszystkich środków, całego geniuszu podjętą próbą dopomożenia do zwycięstwa przeciwnym wartościom, wartościom dostojnym... Dotychczas istniała tylko ta wielka wojna, nie było dotychczas żadnego bardziej rozstrzygającego postawienia kwestii, niż odrodzenie – *moje* zagadnienie jest ich zagadnieniem – nie było też nigdy bardziej zasadniczej, prostszej, surowiej na całej linii rozwiniętej i w centrum przypuszczonej formy ataku! Napaść w rozstrzygającym miejscu, w siedzibie samego chrześcijaństwa, dostojne wartości tu na tron wprowadzić, to jest wszczepić w instynkty, w najgłębsze potrzeby i pożądaniami tam właśnie siedzących... Widzę przed sobą możliwość o zgoła nadziemskim czarze i barw uroku – zda mi się, że jaśnieje ona we wszystkich dreszczach wyrafinowanej piękności, że jest w niej u dzieła sztuka tak boska, tak diabelsko boska, że przesuszkuje się daremnie tysiąclecia, by znaleźć drugą taką możliwość; widzę widowisko tak w myśl bogate, tak cudownie paradoksalne zarazem, że wszystkie bóstwa Olimpu miałyby powód do nieśmiertelnego śmiechu – Cezar Borgia jako papież... Rozumiecież mnie?... Hejże, to byłoby zwycięstwo, którego dziś ja tylko pożądam – tym samym byłoby chrześcijaństwo uprzątnięte! – Cóż się stało? Niemiecki mnich, Luter, przybył do Rzymu. Mnich ten, z wszystkimi w krwi żądnymi zemsty instynktami unieszczęśliwionego kapłana, oburzał się w Rzymie przeciw odrodzeniu... Miast z najgłębszą wdzięcznością zrozumieć potworność, która się zdarzyła, przezwyjęcie chrześcijaństwa w jego siedzibie – umiała tylko nienawiść jego z tego widowiska ciągnąć pokarm dla siebie. Człowiek religijny myśli tylko o sobie. – Luter widział zepsucie papieżstwa, podczas gdy właśnie przeciwieństwa dotknąć można było rękoma: stare zepsucie, *peccatum originale*, chrześcijaństwo już nie siedziało na stolcu papieskim! Lecz życie! Lecz

wiary przede wszystkim potrzeba, to musi się zdyskredytować rozum, poznanie, badanie: droga do prawdy staje się drogą zakazaną. – Silna nadzieja jest daleko większym *stimulans* życia niż jakiegokolwiek poszczególne rzeczywiście spełniające się szczęście. Trzeba podtrzymywać cierpiących nadzieją, której żadna rzeczywistość sprzeciwić się nie może, której żadne nie usunie spełnienie: nadzieją zaświatową. (Właśnie z powodu tej zdolności bałamucenia nieszczęśliwego uchodziła nadzieja u Greków za zło najwyższe, za zło istotnie chytre: pozostało w beczce zła). – By miłość możliwą była, musi Bóg być osobą; by najniższe instynkty także przemawiać mogły, musi Bóg być młody. Dla żarliwości kobiet trzeba na pierwszy plan wysunąć pięknego świętego, dla żarliwości mężczyzn Marię. To pod warunkiem, jeśli chrześcijaństwo chce się stać panem na gruncie, gdzie kultu Afrodyty lub Adonisa ustaliły już pojęcie kultu. Wymaganie czystości wzmacnia gwałtowność i wewnętrzną religijnego instynktu – czyni kult cieplejszym, bardziej marzycielskim i pełniejszym duszy. – Miłość jest stanem, w którym człowiek widzi rzeczy przeważnie tak, jak *nie* są. Moc iluzoryczna stoi tu na swej wyżynie, tak samo moc osłabiająca, przejaśniająca. W miłości znosi się więcej niż kiedy indziej, ścierpi się wszystko. Trzeba było wynaleźć religię, w której kochać można: przez to wydobyto się ponad to, co najgorsze w życiu – nie widzi się go już zgoła. Tyle o trzech cnotach chrześcijańskich, wierze, miłości, nadziei; zwę je trzema roztropnościami chrześcijańskimi. – Buddyzm był za późny, za pozytywistyczny na to, by jeszcze w ten sposób być roztropnym. –

24. Dotykam tu tylko problemu powstania chrześcijaństwa. Pierwsze twierdzenie do jego rozwiązania brzmi: chrześcijaństwo rozumieć można jedynie na gruncie, z którego wyrosło – *nie* jest ono ruchem przeciwko instynktowi żydowskiemu, jest ono samą jego konsekwencją, dalszym wnioskiem jego przejmującej strachem logiki. W formule Zbawiciela: „zbawienie od Żydów pochodzi”. – Drugie twierdzenie brzmi: psychologiczny typ Galilejczyka da się jeszcze rozpoznać, lecz dopiero w najzupełniejszym swym zwyrodnieniu (które jest zarazem okaleczeniem i przeładowaniem obcymi rysami) mógł służyć na to, na co użyty został, za typ Zbawiciela ludzkości. Żydzi są najprzedziwniejszym ludem w dziejach świata, ponieważ stanąwszy wobec zagadnienia istnienia i nieistnienia, z zupełną i niesamowitą świadomością wybrali istnienie za wszelką cenę; tą ceną było radykalne sfalszowanie wszelkiej natury, wszelkiej naturalności, wszelkiej rzeczywistości, tak samo całego świata wewnętrznego, jak zewnętrznego. Odgraniczyli się *od* wszystkich warunków, pod którymi dotąd mógł żyć lud jakiś, pod którymi mu żyć było wolno; stworzyli z siebie pojęcie przeciwstawne naturalnym warunkom – przenieśli kolejno religię, kult, moralność, historię w sposób nieuleczalny na sprzeczność z ich naturalnymi wartościami. Z tym samym zjawiskiem spotykamy się raz jeszcze i to w niewymownie zwiększonych proporcjach, mimo to jako z kopią: Ko-

ściolowi chrześcijańskiemu brak, w porównaniu z „ludem świętych”, wszelkiej pretensji do oryginalności. Żydzi są, właśnie przez to, najfatalniejszym ludem w dziejach świata: w późniejszym swym oddziaływaniu uczynili ludzkość do tego stopnia fałszywą, że dziś jeszcze chrześcijanin czuć może w sposób antyżydowski, nie rozumiejąc, że jest ostatnią konsekwencją żydowską. W swej Genealogii moralności przedstawiłem po raz pierwszy psychologicznie przeciwstawne pojęcia moralności dostojnej i moralności z *ressentiment*, ostatnią jako tę, która wytrysła z „Nie” przeciw pierwszej: lecz to jest na wskroś moralność żydowsko-chrześcijańska. By móc „Nie” mówić wszystkiemu, co przedstawia na ziemi wstępny ruch życia, udaność, moc, piękno, potwierdzenie siebie, musiał tu do geniuszu podniesiony instynkt *ressentiment* wynaleźć sobie świat inny, z którego owo potwierdzenie życia wydało się złym, pogardy godnym w sobie. Ze stanowiska psychologicznego, był lud żydowski ludem najtęższej siły żywotnej, który postawiony wśród najniemożliwszych warunków, dobrowolnie, z najgłębszej mądrości utrzymania się, bierze stronę wszystkich instynktów *decadence* – nie jako przez nie opanowany, lecz ponieważ odgadł w nich moc, którą przepzeć siebie można wbrew „światu”. Żydzi są przeciwieństwem wszelkiej *decadence*: musieli ją przedstawiać aż do złudzenia, umieli dzięki geniuszowi *non plus ultra* aktorskiemu stanąć na czele wszelkich ruchów *decadence* (jako chrześcijaństwo Pawła), by z nich coś stworzyć, co silniejsze niż wszelka potwierdzająca życie partia. *Decadence* jest dla rodzaju ludzi, którzy w żydostwie i chrześcijaństwie doszli do mocy, dla rodzaju kapłańskiego, tylko środkiem: ten rodzaj ludzi ma interes życiowy w tym by ludzkość chorą uczynić i pojęcia „dobry” i „zły”, „prawdziwy” i „fałszywy” przenieć na niebezpieczne dla życia i świat oczerniające znaczenie. –

25. Historia Izraela jest nieoceniona, jako typowa historia wszelkiego wynaturzenia wartości naturalnych: wskazuję pięć takich faktów. Pierwotnie, przede wszystkim w czasach królestwa, znajdował się Izrael do wszystkich rzeczy w słusznym, to znaczy naturalnym stosunku. Jego Jehowa był wyrazem świadomości mocy, radości z siebie, nadziei pokładanej w sobie: oczekiwano w nim zwycięstwa i ocalenia, ufano przez niego naturze, że da, czego ludowi trzeba – przede wszystkim deszczu. Jehowa jest Bogiem Izraela, a przeto Bogiem sprawiedliwości: logika każdego ludu, który ma moc i czyste pod tym względem sumienie. W uroczystym kulcie wyrażają się obie te strony samopotwierdzenia jakiegoś ludu: jest on wdzięczny za wielkie losy, które go wyniosły, jest wdzięczny za zmiany pór roku i wszelkie szczęście w chowie bydła i uprawie roli. – Ten stan rzeczy pozostawał długo jeszcze ideałem, nawet gdy w sposób smutny ustał: anarchia wewnątrz, Asyryjczycy od zewnątrz. Lecz lud zachował jako najwyższe pożądanie ową wizję króla, który jest dobrym żołnierzem i surowym sędzią: przede wszystkim ów typowy pro-

nym samoprzewyciężeniem – bo wszyscy na jakiś sposób mamy w krwi leżące instynkty, chrześcijańskie – zdobyli z powrotem, wolne spojrzenie w obliczu rzeczywistości, ostrożna ręka, cierpliwość i powaga w najmniejszej rzeczy, cała rzetelność poznania – to już istniało! Już przeszło przed dwoma tysiącami lat! A do tego dobry, delikatny takt i smak! Nie jako tresura mózgu! Nie jako „niemieckie” wykształcenie z chamskimi manierami! Lecz jako ciało, jako gest, jako instynkt – słowem jako rzeczywistość!... Wszystko na próżno! Nazajutrz już tylko wspomnieniem! – Grecy! Rzymianie! Dostojność instynktu, smak, metodyczne badanie, geniusz organizacji i zarządu, wiara, wola przyszłości ludzkiej, wielkie potwierdzenie wszech rzeczy, widzialne jako imperium Romanum, widzialne dla wszech zmysłów, wielki styl już nie jeno sztuką, lecz rzeczywistością, prawdą, życiem... I w ciągu nocy nie przez katalizm przyrody zasypałe! Nie przez Germanów i inne ciężkonogi zdeptane! Lecz przez chytrego, tajnego, niewidzialnego, niedokrwestego wampira zhańbione! Nie pokonane – jeno wyssane!... Skryta żądza zemsty, drobna zawiść zapanowała! Wszystko żałośliwe, z powodu siebie cierpiące, nawiedzane lichymi uczuciami, cały świat getta duszy od razu u *góry!* – Trzeba czytać tylko jakiegokolwiek chrześcijańskiego agitatora, na przykład świętego Augustyna, by pojąć, by *nosem poczuć*, co za niechlujne bractwo stało się przez to u góry. Oszukano by się grubo, przypuszczając jakikolwiek brak rozsądku u tych przywódców ruchu chrześcijańskiego – o, są oni roztropni, roztropni aż do świętości, ci panowie Ojce Kościoła! Czego im brak, to zgoła czegoś innego. Natura ich zaniedbała – zapomniała wyposażyć ich skromnie w szanowne, w przyzwoite, w schludne instynkty... Między nami mówiąc, nie są to nawet mężczyźni... Jeśli islam pogardza chrześcijaństwem, to ma tysiąc-krotne do tego prawo: islam ma mężczyzn jako założenie...

60. Chrześcijaństwo pozbawiło nas żniwa kultury starożytnej, później znów pozbawiło nas żniwa kultury islamu. Cudowny mauretański świat kulturalny w Hiszpanii, pokrewniejszy *nam* w gruncie, bardziej przemawiający do zmysłu i smaku niż Rzym i Grecja, został zdeptany (nie mówię jakimi nogami). Dlaczego? Ponieważ powstanie swoje zawdzięczał dostojnym, męskim instynktom, ponieważ potwierdzał życie nawet jeszcze z rzadkimi i wyrafinowanymi kosztownościami życia mauretańskiego!... Krzyżowcy zwalczyli później coś, przed czym w prochu leżeć byliby im bardziej przystało – kulturę, wobec której nawet nasz wiek dziewiętnasty mógłby wydawać się sobie bardzo ubogim, bardzo „późnym”. – Oczywiście, chcieli oni brać łupy: Wschód był bogaty... Bądźmy przecie otwarci! Wojny krzyżowe – wyższego rodzaju korsarstwo... nic więcej! Szlachta niemiecka, w gruncie szlachta wikingowa, była zatem w swoim żywiole: Kościół wiedział zbyt dobrze, czym się pozyskuje szlachtę niemiecką. Szlachta niemiecka, zawsze „szwajcarowie” Kościoła, zawsze w służbie lichych instynktów Kościoła, lecz *dobrze płatni*... Że też Ko-

które w sprawie Rzymu czuły swą własną powagę, swą własną dumę. Potulne skradanie się, tajemniczość konwentyklów, posępne wyobrażenia, jak piekło, jak ofiara z niewinnego, jak *unio mystica* w picu krwi, przede wszystkim powolne podniecanie ognia zemsty, zemsty czandali – to stało się panem Rzymu, ten sam rodzaj religii, który zwalczał już Epikur w jego przedistnieniowej formie. Trzeba czytać Lukrecjusza, by pojąć, co zwalczał Epikur, *nie* pogaństwo, lecz „chrześcijaństwo”, to znaczy zepsucie dusz pojęciem winy, kary i nieśmiertelności. – Zwalczał podziemne kultury, całe chrześcijaństwo w stanie utajonym – przeczyć nieśmiertelności było wtedy już prawdziwym *zbawieniem*. – I Epikur byłby zwyciężył, każdy szanowny duch w państwie rzymskim był epikurejczykiem: wtedy zjawił się Paweł. . . Paweł, w ciało i geniusz zmieniona nienawiść czandali do Rzymu, do świata, Żyd, Żyd wieczny *par excellence*. . . Odgadł on, w jaki sposób można przy pomocy małego, sekciarskiego ruchu chrześcijańskiego na uboczu od żydowszczyzny wzniecić „pożar świata”, w jaki sposób można z pomocą symbolu „Boga na krzyżu” skupić w ogromną moc wszystko u dołu leżące, wszystko tajemnie buntownicze, całe dziedzictwo anarchistycznych wicherzeń w państwie. „Zbawienie idzie od Żydów”. – Chrześcijaństwo jako formuła celem prześcignięcia i zsumowania wszelkiego rodzaju kultów podziemnych, na przykład Ozyrysa, Wielkiej Matki, Mitrasy – na zrozumieniu tego polega geniusz Pawła. Instynkt jego był w tym tak pewny, że wszystkie wyobrażenia, którymi czarowały owe religie czandaków, włożył z bezlitosnym pogwałceniem prawdy w usta „Zbawiciela” swego wynalazku, i nie tylko w usta – że zrobił z niego coś, co zrozumieć mógł także kapłan Mitrasy. . . Oto czym była jego droga do Damaszku: pojął on, że potrzebuje wiary w nieśmiertelność, by „świat” pozbawić wartości, że pojęcie „piekła” zapanuje jeszcze nad Rzymem – że „zaświatem” zabije się życie. . . Nihilista i chrześcijanin: to się z sobą godzi, i nie tylko godzi. . .

59. Cała praca starożytnego świata na próżno: nie mam słowa na wyrażenie swego uczucia wobec czegoś tak potwornego. I jeśli się pomyśli, że praca jego była pracą przygotowawczą, że z granitową świadomością siebie położono właśnie dopiero podwaliny pod prace tysiąceci, to cały sens starożytnego świata jest próżny! . . . Po co Grecy? Po co Rzymianie? – Wszystkie założenia uczonej kultury, wszystkie naukowe metody już istniały, ustalono już wielką, nieporównaną sztukę dobrego czytania – to założenie tradycji kultury, jedność wiedzy; wiedza przyrodnicza, w przymierzu z matematyką i mechaniką, była na jak najlepszej drodze – zmysł faktów rzeczywistych, ostatni i najwartościowszy z wszech zmysłów, miał swoje szkoły, swoją liczącą już stulecia tradycję! Rozumiecie to? Wszystko, co istotne, było znalezione, by móc zabrać się do pracy: – metody, trzeba to rzec dziesięciokrotnie, *szę* tym, co istotne, także tym, co najtrudniejsze, jako też tym, co najdłużej ma przeciwko sobie nawyknięcia i lenistwa. Cośmy sobie dziś, z niewysłow-

rok (to znaczy krytyk i satyryk chwili) Izajasz. – Lecz żadna nadzieja nie spełniała się. Stary Bóg nie umiał już nic z tego, co umiał niegdyś. Trzeba go było puścić kantem. Co się stało? Zmieniono jego pojęcie – wynaturzono jego pojęcie: za tę cenę zachowano go. – Jehowa, Bóg „sprawiedliwości” – już nie jedność z Izraelem, wyraz samopoczucia ludu: jeszcze tylko Bóg pod warunkami. . . Pojęcie jego staje się narzędziem w rękach agitatorów kapłańskich, którzy wszelkie szczęście tłumaczą teraz jako nagrodę, wszelkie nieszczęście jako karę za nieposłuszeństwo względem Boga, za „grzech”: ów najkłamliwszy sposób tłumaczenia rzekomo „moralnego porządku świata”, przewracający raz na zawsze naturalne pojęcie „przyczyny” i „skutku” do góry nogami. Dopiero gdy nagrodą i karą uprzątnęło się ze świata naturalną przyczynowość, potrzeba przyczynowości przeciwnatURALnej: cała reszta nienaturalności występuje teraz. Bóg, który wymaga – zamiast Boga, który pomaga, który użycza rady, który w gruncie rzeczy jest wyrazem na wszelką szczęśliwą inspirację odwagi i ufności w siebie. . . Moralność już nie wyrazem warunków życia i wzrostu ludu, już nie najgłębszym instynktem życia, lecz abstrakcją, przeciwstawieniem życia – moralności jako zasadnicze pogorszenie wyobraźni, jako „złe spojrzenie” dla wszystkich rzeczy. Czym jest żydowska, czym chrześcijańska moralność? Przypadkiem, pozbawionym swej niewinności; nieszczęściem, zbrudzonym przez pojęcie „grzechu”, dobrobytem, pojętym jako niebezpieczeństwo, jako „pokusa”; fizjologicznym niedomaganiem, zatrutym przez robaka sumienia. . .

26. Pojęcie Boga sfalszowano; pojęcie moralności sfalszowano: kapłaństwo żydowskie nie poprzestało na tym. Cała historia Izraela była niepotrzebna: precz z nią! – Kapłani ci dokonali tego cudu fałszu, którego dokumentem jest nam większa część Biblii: z bezprzykładnym urąganiem wszelkiej tradycji, wszelkiej rzeczywistości historycznej, własną przeszłość ludową przetłumaczyli na religijność, to znaczy zrobili z niej głupi mechanizm zbawczy winy względem Jehowy i kary, bogobojności względem Jehowy i nagrody. Odczuwalibyśmy o wiele boleśniej ten najhaniebniejszy akt fałszerstwa historycznego, gdyby kościelne tłumaczenie historii od tysiąceci nie było nas prawie stępilo na wymagania uczciwości *in historicis*. A Kościołowi wtórowali filozofowie: kłamstwo „moralnego porządku świata” ciągnie się przez cały rozwój nawet nowszej filozofii. Co znaczy „moralny porządek świata”? Że istnieje, raz na zawsze, wola Boża, co człowiek ma czynić, a czego zaniechać; że wartość jakiegoś ludu, jednostki mierzy się tym, czy się bardzo, czy mało jest woli Bożej posłusznym; że w losach jakiegoś narodu, jednostki, wola Boża przejawia się *władczo*, to znaczy karząco lub nagradzająco, zależnie od stopnia posłuszeństwa. Rzeczywistość miast tego pożałowania godnego kłamstwa brzmi: pasożytniczy rodzaj człowieka, który udaje się tylko kosztem wszystkich zdrowych tworców życia, kapłan, nadużywa imienia Boga: zwie on stan

rzeczy, w którym kapłan wartość rzeczy ustanawia, „Królestwem Bożym”; środki, których mocą osiąga lub podtrzymuje się taki stan, zwie „wołą Bożą”; z zimnokrwistym cynizmem mierzy ludy, czasy, jednostki wedle tego, czy były przemocy kapłańskiej pożyteczne, czy też się jej opierały. Trzeba ich widzieć przy robocie: pod rękami kapłanów żydowskich stał się czas wielkości w historii Izraela czasem upadku; wygnanie, długotrwałe nieszczęście zmieniło się w karę wieczną za czas wielkości – czas, w którym kapłan był jeszcze niczym. Z potężnych, bardzo swobodnie udanych postaci Izraela, czynili, wedle potrzeby, mizernych świętoszków i milczków lub „bezbożnych”, upraszczali psychologię każdego wielkiego zdarzenia do idiotycznej formuły „posłuszeństwa lub nieposłuszeństwa Bogu”. – Krok dalej: „woła Boża”, to znaczy warunki ostania się mocy kapłanów, musi być znana – do tego celu trzeba „objawienia”. Po naszymu: konieczne jest wielkie fałszerstwo literackie, odkrywa się „Pismo święte” – objawia się je wśród całego hieratycznego przepychu, z dniami pokutnymi i wrzaskiem jęku z powodu długotrwałego „grzechu”. „Woła Boża” była z dawna ustanowiona: całe nieszczęście leży w tym, że odwrócono się od „Pisma świętego”. . . Już Mojżeszowi objawiona była „woła Boża”. . . Co się stało? Kapłan sformułował surowo, pedantycznie, aż do wielkich i małych podatków, które mu płacić się miało (nie zapominając o najsmaczniejszych kęsach mięsa: bo kapłan żre beefsteak'i), sformułował raz na zawsze, *co chce mieć*, „co jest wołą Bożą”. . . Odtąd wszystkie sprawy życia są tak urządzone, że kapłan jest wszędzie niezbędny; we wszystkich naturalnych zdarzeniach życiowych, przy urodzeniu, małżeństwie, chorobie, śmierci, nie mówiąc już o ofierze („wieczerzy”), zjawia się święty pasożyt, by je wynaturzyć: w języku jego „uświęcić”. . . Bo to zrozumieć trzeba: każdy naturalny obyczaj, każdą naturalną instytucję (państwo, postępowanie sądowe, małżeństwo, troskę o chorych i ubogich) wszystkie przez instynkt życia natchnione żądania, słowem wszystko, co ma w sobie swą wartość, pasożytnictwo kapłanów czyni zasadniczo bezwartościowym, wartości przeciwnym; wymaga ono dodatkowej sankcji – potrzebuje nadającej wartość mocy, która w nim natury zaprzecza i przez to właśnie dopiero wartość stwarza. . . Kapłan odziera z wartości, z świętości naturę: za tę cenę istnieje w ogóle. – Nieposłuszeństwo względem Boga, to znaczy względem kapłana, względem „prawa”, otrzymuje teraz miano „grzechu”; środki do „pojednania się znowu z Bogiem”, to – jak służna – te, które uległość mocy kapłanów jeszcze gruntownie tylko zabezpieczają: tylko kapłan „wyzwała”. . . Ze stanowiska psychologicznego, stają się „grzechy” w każdej, po kapłańsku zorganizowanej społeczności, niezbędne; są one właściwą poręką mocy, kapłan *żyje* z grzechów, potrzebuje jeszcze, by „grzeszono”. . . Najwyższa zasada: „Bóg przebacza temu, kto czyni pokutę” – po naszymu: kto się podda kapłanowi. –

27. Na fałszywym w ten sposób gruncie, gdzie wszelka natura, wszelka wartość naturalna, wszelka rzeczywistość miała przeciwko sobie najgłębsze

instynkt, ochotę, uczucie zadowolenia robotnika ze swego małego istnienia – którzy zawistnym go czynią, którzy zemsty go uczą. . . Krzywda nie leży nigdy w nierówności praw, leży w roszczeniu sobie „równych” praw. Co jest *złe*? Lecz rzekłem to już: wszystko, co pochodzi ze słabości, z zawiści, z zemsty. – Anarchista i chrześcijanin jednego są pochodzenia. . .

58. Rzeczywiście, stanowi to różnicę, w jakim celu się kłamie: czy się tym zachowuje, czy burzy. Między chrześcijaninem i anarchistą można położyć znak równości: ich cel, ich instynkt dąży do zburzenia. Dowód na to twierdzenie trzeba z historii tylko odczytać: zawiera go ona w przerażającej wyrazistości. Jeśli poznaliśmy dopiero co prawodawstwo religijne, którego celem było „uwiecznić” najwyższy warunek rozkwitu życia, wielką organizację społeczności – to chrześcijaństwo znalazło posłannictwo swe w tym, by położyć kres właśnie takiej organizacji, ponieważ w niej życie kwitło. Tam miano rozumowy wynik długich czasów eksperymentu i niepewności na najszerszy zasiąg pożytek i możliwie największe, najbogatsze, najzupełniejsze żniwo znieść do domu: tu przeciwnie w przeciągu nocy zatruto żniwo. . . To, co istniało *aere perennius*, imperium Romanum, było najwspanialszą z osiągniętych dotychczas form organizacji w ciężkich warunkach; w porównaniu z nią wszystko dawniejsze i późniejsze jest tylko łataniną, partactwem, dyktantyzmem. Owi święci anarchiści zrobili sobie „bogobojność” z tego, by zburzyć „świat”, to znaczy imperium Romanum, aby nie został kamień na kamieniu – aż Germanie i inne chamy stali się panami gruzów. . . Chrześcijanin i anarchista: obaj *decadents*, obaj niezdolni działać inaczej niż rozprzegając, trując, zaprawiając goryczą, wysysając krew, obaj z instynktem śmiertelnej nienawiści do wszystkiego, co stoi, co jest wielkie, jest trwałe, co życiu przyszość przyrzeka. . . Chrześcijaństwo było wampirem imperium Romanum – unicestwiło w ciągu nocy ogromne dzieło Rzymian, uzyskanie gruntu pod wielką kulturę, która ma czas. – Nie rozumiecież tego wciąż jeszcze? Imperium Romanum, które znamy, o którym historia prowincji rzymskiej coraz lepiej nas poucza, to najgodniejsze podziwu dzieło sztuki w wielkim stylu, było początkiem, budowa jego obliczona była na to, by dowieść się tysiącleciami – nigdy dotąd tak nie budowano, nigdy nawet nie śniono, by budować w równej mierze *sub specie aeterni*. Organizacja ta była dość silna, by wytrzymać złych cesarzy: przypadek w osobach nie śmie mieć nic do czynienia w takich rzeczach – pierwsza zasada wszelkiej wielkiej architektury. Lecz nie była dość silna przeciw najbardziej zepsutemu rodzajowi zepsucia, przeciw chrześcijanom. . . To tajemne robactwo, przypelzające wśród nocy, mgły i dwuznaczności do wszystkich jednostek i wysysające z każdej jednostki powagę w sprawie rzeczy prawdziwych, instynkt w ogóle do rzeczy realnych, ta tchórzliwa, niewieścia i cukrowosłodka zgraja czyniła stopniowo „dusze” obcymi tej niezmiernej budowie – owe wartościowe, męsko-dostojne natury,

pesymizm również. „Świat jest doskonały – tak mówi instynkt najbardziej duchowych, instynkt potwierdzający – niedoskonałość, wszelkiego rodzaju pod nami, odległość, patos odległości, sam czandala należy jeszcze do tej doskonałości”. Najbardziej duchowi ludzie, *najsilniejsi*, znajdują swe szczęście w tym, w czym by inni znaleźli swą zgubę: w labiryncie, w srogości dla siebie i innych, w próbie; ich rozkoszą jest przewycięzanie siebie: ascetyzm staje się u nich naturą, potrzebą, instynktem. Trudne zadanie uważają za przywilej; igrać z brzemionami, które miazdzą innych – za wytchnienie. . . . Poznanie – forma ascetyzmu. – Jest to najczcigodniejszy rodzaj ludzi: co nie wyklucza, że i najpogodniejszy, najmiłszy. Panują, nie dlatego że chcą, lecz dlatego że są; nie jest im dane do woli być drugimi. – *Drudzy*: to stróże prawa, przestrzegacze porządku i bezpieczeństwa, to dostojni wojownicy, to król przede wszystkim, jako najwyższa formuła wojownika, sędzi i strażnika prawa. Drudzy to egzekutywa najbardziej duchowych, najbliższa ich własność, to co zwalnia ich od wszelkiej grubej roboty w pracy panowania – ich orszak, ich prawa ręka, ich najlepsi uczniowie. – We wszystkim tym, by rzecz raz jeszcze, nie ma nic z samowoli, nic „robionego”; co jest inne, jest robione – natura jest wówczas pohańbiona. . . . Porządek kastowy, porządek wedle stopni, formuluje tylko najwyższe prawo samego życia; rozgraniczenie trzech typów jest konieczne do utrzymania społeczności, do umożliwienia wyższych i najwyższych typów – nierówność praw dopiero jest warunkiem tego, że w ogóle prawa istnieją. – Prawo jest przywilejem. W swoim sposobie istnienia ma każdy też swój przywilej. Nie ważmy lekce przywilejów ludzi średnich. Życie, dążące w wyżyny, staje się coraz twardsze – zimno rośnie, odpowiedzialność wzrasta. Wyższa kultura jest piramidą: stać ona może tylko na szerokiej podstawie, najpierwszym jej warunkiem jest silna i zdrowo skonsolidowana średniość. Rzemiosło, handel, rolnictwo, nauka, większa część sztuki, jednym słowem cały ogół działalności z powołania, zgadza się jedynie z średnią miarą możności i pożądania; wszystko to by było nie na swym miejscu wśród wyjątków, właściwy tu instynkt kłóciłby się tak z arystokratyzmem, jak z anarchizmem. Że się jest publicznym pożytkiem, kołem, funkcją, to zależy od przeznaczenia z natury: *nie* społeczeństwo, lecz rodzaj szczęścia, do którego najliczniejsi są jedynie zdolni, robi z nich inteligentne maszyny. Dla człowieka średniego być średnim jest szczęściem; mistrzostwo w czymś jednym tylko, specjalność jest naturalnym instynktem. Byłoby zupełnie niegodne głębszego ducha widzieć już zarzut w średniości samej. Jest ona nawet pierwszą koniecznością do tego, że śmieją istnieć wyjątki: jest ona warunkiem wysokiej kultury. Jeżeli człowiek wyjątkowy właśnie ludzi średnich dotyka palcami delikatniejszymi niż siebie i sobie równych, to nie jest to tylko dwornością serca – jest to po prostu jego obowiązkiem. . . . Kogóż najbardziej nienawidzę wśród dzisiejszej hołoty? Socjalistycznej hołoty, apostołów-czandaków, którzy podkopują in-

instynkty panującej klasy, wyrosło chrześcijaństwo, forma śmiertelnej nieprzyjaźni względem rzeczywistości, forma dotąd nieprzewyższona. „Lud święty”, który dla wszystkich rzeczy zachował tylko kapłańskie wartości, tylko słowa kapłańskie i z przejmującą lękiem konsekwencją wszystko, co jeszcze z mocy na ziemi istniało, oddzielił od siebie, jako „nieświęte”, jako „świat”, jako „grzech” – ten lud wytworzył dla swego instynktu ostatnią formułę, logiczną aż do zaprzeczenia siebie: jako chrześcijaństwo, zaprzeczył jeszcze ostatniej formie rzeczywistości, „ludu świętego”, „ludu wybranego”, żydowskiej rzeczywistości samej. Wypadek jest największego znaczenia: drobny, buntowniczy ruch, ochrzczony od imienia Jezusa z Nazaretu, jest instynktem żydowskim raz jeszcze – inaczej mówiąc, instynktem kapłańskim, który nie znosi już kapłana jako rzeczywistości, wynalazkiem jeszcze bardziej oderwanej formy istnienia, jeszcze mniej realnej wizji świata, niż tego organizacja Kościoła wymaga. Chrześcijaństwo zaprzecza Kościołowi. . . . Nie widzę, przeciw czemu zwrócony był bunt, za którego sprawcę Jezus uchodził w rozumieniu lub nieporozumieniu ludzkim, jeśli to nie był bunt przeciw Kościołowi żydowskiemu, Kościołowi w tym samym zgoła znaczeniu, w jakim go dziś używamy. Był to bunt przeciw „dobrym i sprawiedliwym”, przeciw „świętym Izraela”, przeciw hierarchii społecznej – *nie* przeciw jej zepsuciu, lecz przeciw kaście, przywilejowi, porządkowi, formule; była to niewiara w „ludzi wyższych”, „*Nie*” – powiedziane wszystkiemu, co było kapłanem i teologiem. Przecież hierarchia, która przez to, choć tylko na chwilę, podana została w wątpliwość, była budową palową, na której lud żydowski, pośród „wody”, w ogóle jeszcze istniał, z trudem zdobytą ostatnią możliwością ostantia się, *residuum* jego politycznej odrębności: atak na nią był atakiem na najgłębszy instynkt ludowy, na najwytrwalszą ludową wolę życia, jaka kiedykolwiek istniała na ziemi. Ten święty anarchista, który wzywał motloch, odepchniętych i „grzeszników”, wszystkich *czandala* w obrębie żydowszczyzny, do oporu przeciw panującemu porządkowi – językiem, który i dziś jeszcze, jeśli można ufać Ewangeliom, wiódłby na Sybir – był politycznym zbrodniarzem, o ile właśnie polityczni zbrodniarze w niedorzecznie niepolitycznej społeczności byli możliwi. To go doprowadziło do krzyża: dowodem tego jest napis na krzyżu. Umarł za *swoją* winę – brak wszelkiej do tego podstawy, pomimo że często tak właśnie twierdzono, że umarł za winę innych. –

28. Zgoła inne jest pytanie, czy miał on w ogóle świadomość takiego przeciwstawienia – czy się go tylko nie odczuwało jako to przeciwstawienie. I tu dopiero dotykam problemu psychologii Zbawiciela. – Wyznaję, że mało książek z takimi czytaniem trudnościami, jak Ewangelie. Inne to trudności niż owe, z których wykazania uczona ciekawość niemieckiego ducha święciła jeden z swych najbardziej niezapomnianych tryumfów. Minał czas, gdy i ja, podobnie jak każdy młody uczonek, rozkoszował się z roztropną powolnością

wyrafinowanego filologa, dziełem nieporównanego Straussa. Miałem wówczas lat dwadzieścia: teraz za poważny jestem na to. Co mnie obchodzą sprzeczności „tradycji”? Jak można w ogóle nazywać „tradycją” legendy o świętych! Historie o świętych są najdwuznaczniejszą literaturą, jaka w ogóle istnieje: stosować do nich metodę naukową, jeśli żadnych poza tym nie ma dokumentów, zdaje mi się rzeczą z góry przesądzoną – tylko uczonym próżnowaniem. . .

29. Co mnie obchodzi, to psychologiczny typ Zbawiciela. Ten zaś mógłby być zachowany w Ewangeliach mimo Ewangelii, choćby nie wiedzieć jak nawet okaleczony i obładowany obcymi rysami: jak Franciszek z Asyżu zachowany jest w legendach o sobie, mimo legendy o sobie. *Nie* prawda o tym, co uczynił, co powiedział, jak właściwie umarł: lecz pytanie, czy typ jego w ogóle jeszcze da się wyobrazić, czy jest „przekazany”? Znałe mi usiłowania wyczytania z Ewangelii nawet dziejów „duszy”, zdają mi się dowodami godnej odrzy lekkożywności psychologicznej. Pan Renan, ten błazen *in psychologicis*, dorzucił do tego dwa najniesłychańsze pojęcia dla swego wyjaśnienia typu Jezusa, jakie w tym względzie istnieć mogą: pojęcie geniusza i pojęcie bohatera (heros). Lecz jeśli co jest nie-ewangelicznego, to pojęcie bohatera. Właśnie przeciwieństwo wszelkich zapasów, wszelkiego poczucia się w walce stało się tu instynktem: niezdolność oporu staje się tu morałem („nie sprzeciwiaj się złu” – najgłębsze słowo Ewangelii, ich klucz w pewnym znaczeniu), błogość w pokoju, w łagodności, w niemożności, by być wrogiem. Co znaczy „nowina radosna”? Życie prawdziwe, życie wieczne jest znalezione – nie obiecuje się go, ono jest tu, jest w *was*: jako życie w miłości, jako miłość bez odjęcia i wyłączenia, bez odległości. Każdy jest dziećciem Boga – Jezus do niczego nie rości sobie wyłącznego prawa – jako dzieci Boga wszyscy są sobie równi. . . Jezusa bohaterem czynić! – I jakimż nieporozumieniem aż słowo „geniusz”? Całe nasze pojęcie, nasze kulturalne pojęcie „ducha” nie ma w świecie, w którym żyje Jezus, żadnego zgoła sensu. Mówiąc z surowością fizjologa, inne wcale słowo byłoby tu raczej jeszcze na miejscu. . . Znamy stan chorobliwej pobudliwości zmysłu dotyku, który wzdraga się przed każdym dotknięciem, każdym ujęciem stałego przedmiotu. Przelóżmy sobie taki fizjologiczny *habitus* na jego ostateczną logikę – jako instynktowną nienawiść do każdej rzeczywistości, jako ucieczkę w „nieuchwytność”, w „niepojętość”, jako odrzucie do wszelkiej formuły, wszelkiego pojęcia czasu i przestrzeni, do wszystkiego, co jest silne, obyczajem, instytucją, Kościołem, jako czucie się u siebie w świecie, którego nie tyka już żaden rodzaj rzeczywistości, w świecie jeszcze tylko „wewnętrznym”, w świecie „prawdziwym”, w świecie „wiecznym”. . . „Królestwo Boże jest w *was*”. . .

30. Instynktowna nienawiść do rzeczywistości: skutek skrajnej zdolności cierpienia i pobudliwości, która w ogóle już nie chce być „dotknięta”, bo

nigdy o pożytku, argumentach, kazuistyce w przeddziejach jakiegoś prawa: przez to właśnie utraciłoby ono rozkazodawczy ton, „powinieneś”, warunek tego, że się słucha. W tym właśnie leży problemat. – Na pewnym stopniu rozwoju pewnego ludu oznajmia najbaczniejsza, to jest wstecz i w dal patrząca jego warstwa, że doświadczenie, wedle którego żyć trzeba – to jest można – jest skończone. Cel jej zmierza do zebrania jak najbogatszego i najzupełniejszego żniwa czasów eksperymentów i złego doświadczenia. Czemu przede wszystkim zapobiec teraz należy, to dalszemu jeszcze eksperymentowaniu, dalszemu trwaniu płynnego stanu wartości, badaniu, wybieraniu, krytykowaniu wartości *in infmitum*. Przeciw temu stawia się podwójny mur: najpierw objawienie, to jest twierdzenie, że rozum owych praw *nie* jest ludzkiego pochodzenia, *nie* był powoli i wśród chybień szukany i znaleziony, lecz został tylko udzielony, jako boskiego pochodzenia, cały, doskonały, bez dziejów, jako dar, jako cud. . . Następnie tradycję, to jest twierdzenie, że prawo istniało już od pradawnych czasów, że podawać je w wątpliwość jest brakiem pietyzmu, zbrodnią względem przodków. Powaga prawa opiera się na dwóch tezach: Bóg je dał, przodkowie przeżywali. – Wyższy rozum takiego postępowania leży w zamiarze, by świadomość krok za krokiem wyprzeć z życia uznanego za słusznego (to jest dowiedzione niezmiernym i surowo przesianym doświadczeniem): tak, że osiąga się doskonały automatyzm instynktu – ten warunek wszelkiego rodzaju mistrzostwa, wszelkiego rodzaju doskonałości w sztuce życia. Ustanowić księgę praw w rodzaju Manu znaczy pozwolić jakiemuś ludowi stawać się w przyszłości mistrzem, stawać się doskonałym – dążyć do najwyższej sztuki życia. Na to stać się on musi nieświadomym: to cel każdego świętego kłamstwa. – Porządek kastowy, najwyższe, dominujące prawo, jest tylko uswięceniem porządku natury, pierwszorzędną prawnością natury, nad którą nie ma mocy żadna samowola, żadna „idea nowoczesna”. W każdej zdrowej społeczności występują oddzielnie, warunkując się nawzajem, trzy typy o różnym ciężeniu fizjologicznym, z których każdy ma swoją własną higienę, swoje własne królestwo pracy, swój własny rodzaj poczucia doskonałości i mistrzostwa. Natura, *nie* Manu, rozdziela ludzi więcej duchowych, więcej silnych mięskulami i temperamentem i tych trzecich, nieodznaczających się ani jednym, ani drugim, średnich – tych ostatnich jako wielką liczbę, pierwszych jako wybór. Najwyższa kasta – zwę ją najmniej licznymi – ma jako doskonała także przywileje najmniej licznym: tu włącza się przedstawicielstwo szczęścia, piękności, dobroci na ziemi. Tylko najbardziej duchowi ludzie mają pozwolenie na piękność, na piękno: tylko u nich dobroć nie jest słabością. *Pulchrum est paucorum hominum*: dobro jest przywilejem. Niczego natomiast zabronić im bardziej nie można niż brzydkich manier lub pesymistycznego spojrzenia, oka, które zbrzydza – lub zgoła oburzenia na powszechny wygląd rzeczy. Oburzenie jest przywilejem czandaków;

skiemu – nie brak go u Platona. „Prawda jest tutaj”: to znaczy, gdziekolwiek się głosi, kapłan *klamie*. . .

56. – W końcu chodzi o to, dla jakiego celu się kłamie. Że w chrześcijaństwie brak „świętych” celów, to mój zarzut przeciw jego środkom. Tylko złe cele: zatrucie, oszczerstwo, zaprzeczenie życia, pogarda ciała, poniżenie w godności i samopohańbienie człowieka przez pojęcie grzechu – *przeto* są też jego środki złe. – Czytam z przeciwnym wprost uczuciem Księgę Praw Manu, bez porównania bardziej duchowe i wyższe dzieło, które choćby tylko wymienić jednym tchem z Biblią byłoby grzechem przeciw *duchowi*. Łatwo odgadnąć: ma ono prawdziwą filozofię poza sobą, w sobie, nie tylko niepachnącą judaizm rabinizmu i zabobonu – nawet najwybredniejszy psycholog tu się pożywi. *Nie* zapominajmy o rzeczy głównej, o zasadniczej różnicy w porównaniu z wszelkiego rodzaju Biblią: dostojne stany, filozofowie i wojownicy dźwierzają wraz z nim tłum w swojej ręce; wszędzie dostojne wartości, uczucie doskonałości, potwierdzanie życia, tryumfująca błogość z siebie i z życia – słońce leży na całej księdze. Wszystkie rzeczy, które chrześcijaństwo obrzuca swym bezdennym prostactwem, na przykład płodzenie, kobietę, małżeństwo, traktuje się tu poważnie, z czcią, z miłością i zaufaniem. Jakże można właściwie dawać w rękę dzieciom i kobietom książkę, która zawiera te nikczemne słowa: „dla uwarowania się wszeteczeństwa niech każdy ma swoją własną żonę, a każda niech ma swego własnego męża. . . lepiej w stan małżeński wstąpić niż upalenie cierpieć” (Paweł, / List do Koryntian 7, 2 i 9). I *wolność* być chrześcijaninem, dopóki powstanie człowieka jest schrystianizowane, to jest zbrudzone pojęciem *immaculata conceptio*. . . Nie znam książki, w której by powiedziano kobiecie tak wiele delikatnych i dobrotliwych rzeczy, jak w Księdze Praw Manu; ci starzy siwi brodacze i święci mają rodzaj grzeczności względem kobiet, być może nieprzewyższony. „Usta kobiety – napisano tam w jednym miejscu – piersi dziewczęce, modlitwa dziecka, dym ofiarny, są zawsze czyste”. W innym miejscu: „nie ma nic czystsze nad światło słońca, cień krowy, powietrze, wodę, ogień i oddech dziewczyny”. Ostatni ustęp – może też kłamstwo święte! – „wszystkie otwory ciała powyżej pepka są czyste, wszystkie poniżej są nieczyste. Tylko u dziewczyny jest całe ciało czyste”.

57. Nieświętość środków chrześcijańskich chwytą się *in flagranti*, jeśli się mierzy cel chrześcijański wedle celu Księgi Praw Manu – jeśli się to największe przeciwieństwo celów silnie oświeśli. Krytykowi chrześcijaństwa nie zostaje oszczędzonym podanie chrześcijaństwa w pogardę. – Taka księga praw jak Księga Manu, powstaje, jak każda dobra księga praw: zbiera ona doświadczenie, roztropność, moralność eksperymentalną długich stuleci, zamyka ona, nie tworzy nic więcej. Założeniem kodyfikacji w jej rodzaju jest zrozumienie, że środki do stworzenia powagi dla powolnie i drogo nabytej *prawdy*, są zasadniczo różne od tych, którymi by jej dowodzono. Księga Praw nie mówi

każde dotknięcie zbyt głęboko odczuwa. Instynktowne wykluczenie wszelkiej odrazy, wszelkiej wrogości, wszelkich granic i odległości w uczuciu: skutek skrajnej zdolności cierpienia i pobudliwości, która każdy opór, każdy mus oporu odczuwa już jako nieznośną nieprzyjemność (to znaczy jako szkodliwą, jako coś, czego instynkt samozachowawczy odradza), a błogość (przyjemność) w tym tylko widzi, by nie opierać się już, nikomu już, ani nie dobremu, ni złemu – miłość jako jedyna, jako ostatnia możliwość życia. . . Są to dwie fizjologiczne rzeczywistości, na których, z których wyrosła nauka o zbawieniu. Nazywam ją wzniosłym dalszym rozwojem hedonizmu na chorobliwym na wskroś podkładzie. Najbardziej pokrewny jej, chociaż z wielkim przydatkiem greckiej żywotności i siły nerwowej, jest epikureizm, pogańska nauka o zbawieniu. Epikur typowy decadent: przeze mnie pierwszego jako taki poznany. – Obawa bólu, nawet niezmiernie drobnego bólu – nie może zgoła skończyć się czym innym jak religią miłości. . .

31. Naprzód już dałem odpowiedź swą na problemat. Założeniem jej jest, że typ Zbawiciela dochował się nam tylko w silnym zniekształceniu. Zniekształcenie to ma w sobie wiele prawdopodobieństwa: typ taki nie mógł z wielu powodów pozostać czysty, zupełny, bez dodatków. Nawet *milieu*, w którym ta obca poruszała się postać, musiało pozostawić na nim ślady, więcej jeszcze historia, *los* pierwszej gminy chrześcijańskiej; on, oddziaływując wstecz, wzbogacił typ rysami, które jeno ze stanowiska wojny i celów propagandy zrozumiałymi się stają. Ów dziwny i chory świat, w który wprowadzają nas Ewangelie – świat, jakby z powieści rosyjskiej, w którym wyrutki społeczeństwa, cierpienie nerwowe i „dziecięcy” idiotyzm, zda się, schadzki sobie naznaczyły – musiał w każdym razie pogrubić typ: zwłaszcza pierwsi uczniowie przetłumaczyli istnienie, pływające całe w symbolach i nieuchwytnościach, najpierw na własną surowiznę, by w ogóle coś z tego zrozumieć – dla nich zaistniał typ dopiero po nadaniu mu jednokształtu z formami bardziej znanymi. . . Prorok, mesjasz, przyszły sędzia, nauczyciel moralności, cudotwórca, Jan Chrzciciel – tyleż sposobności zanepoznania typu. . . Nie lekceważmy wreszcie *proprium* wszelkiej wielkiej, mianowicie sekciarskiej czci: zaciera ona oryginalne, często dręczące obce rysy i idiosynkrazje w istocie czczony – nie widzi ich nawet. Można by żałować, że jakiś Dostojewski nie żył w pobliżu tego najbardziej zajmującego *decadent*, mam na myśli kogoś, który by umiał właśnie odczuwać przejmujący czar takiej mieszaniny wzniosłości, chorobliwości i dziecięctwa. Ostatni punkt widzenia: typ mógłby, jako typ *decadence*, posiadać rzeczywiście osobliwą różnorodność i sprzeczność: taka możliwość nie jest zupełnie wykluczona. Mimo to, wszystko przeciw niej przemawia: właśnie tradycja musiałaby w tym wypadku być przedziwnie wierna i przedmiotowa: czego przeciwieństwo przypuszczać mamy powody. Tymczasem przepaść sprzeczności leży między kaznodzieją na górze, na jeziorze

i na łące, którego zjawisko, niby jakiegoś Buddy na bardzo mało indyjskim gruncie, jest pełne wdzięku, a owym napastliwym fanatykiem, śmiertelnym wrogiem teologów i kapłanów, którego złośliwość Renana uświetniła, jako *le-grandmaitre en ironie*. . . Ja sam nie wątpię, że obfita miara zółci (a nawet *esprit*) przelała się na typ mistrza dopiero ze wzburzonego stanu chrześcijańskiej propagandy: zna się przecież dostatecznie brak skrupułów wszystkich sekciarzy w przyrządzaniu sobie z mistrza swego swojej *apologii*. Gdy pierwsza gmina zapotrzebowała sądzącego, swarzącego się, gniewnego, złośliwie przebiegłego teologa, przeciw teologom, stworzyła sobie swego „Boga” wedle swej potrzeby: tak jak bez wahania kładła mu także w usta owe zgoła nieewangeliczne pojęcia, które były jej teraz niezbędne, „powrót”, „Sąd Ostateczny”, wszelkiego rodzaju czasowe oczekiwanie i przyobiecanie. –

32. Opieram się, by rzec raz jeszcze, temu, by wprowadzano fanatyka do typu Zbawiciela: słowo *imperieux*, którego Renan używa, już samo znosi typ. „Dobrą nowiną” jest właśnie, że nie ma już żadnych przeciwieństw; Królestwo Niebieskie należy do dzieci; wiara, którą się tu głosi, nie jest wywalczoną wiarą – istnieje ona, jest od początku, jest niejako dziecięctwem, które cofnęło się w sferę duchową. Wypadek przedłużonego i nierozwiniętego w organizmie chłopięctwa, jako skutek zwyrodnienia, znany jest przynajmniej fizjologom. – Wiara taka nie gniewa się, nie gani, nie broni się; nie przynosi „miecza” – nie przeczuwa zgoła, o ile by mogła kiedyś dzielić. Nie dowodzi siebie ani cudem, ani nagrodą, ni przyobiecaniem, ani nawet Pismem: ona sama jest każdej chwili swym cudem, swą nagrodą, swym dowodem, swym „Królestwem Bożym”. Nie formułuje się także ta wiara – ona *żyje*, broni się przeciw formułom. Oczywiście, że przypadek otoczenia, języka, poprzedniego rozwoju wyznacza pewien zakres potrzeb: pierwsze chrześcijaństwo posiada tylko żydowsko-semickie pojęcia (zalicza się tutaj jedzenie i picie przy komunii, owo, jak wszystko, co żydowskie, tak bardzo nadużyte przez Kościół pojęcie). Lecz należy się strzec widzieć w tym więcej niż mowę znaków, semiotykę, sposobność do przenośni. Właśnie to, że żadnego słowa nie bierze się dosłownie, jest dla tego antyrealisty uprzednim warunkiem, by w ogóle mógł mówić. Wśród Indów byłby się posługiwał pojęciami z Sankhyam, wśród Chińczyków z Lao-tse – i nie byłby żadnej czuł przy tym różnicy. – Można by, z pewną tolerancją w wyrazie, nazwać Jezusa „wolnym duchem” – nie sobie nie robi z niczego, co mocne: słowo zabija, wszystko co mocne, zabija. Pojęcie, doświadczenie „życia”, jak on je sam zna, sprzeciwia się w nim każdego rodzaju słowu, formule, prawu, wierze, dogmatowi. Mówi on tylko o najwewnętrzniejszym: „życie” lub „prawda”, lub „światło” jest jego słowem na to, co najwewnętrzniejsze – wszystko pozostałe, cała rzeczywistość, cała przyroda, nawet mowa, ma dlań tylko wartość znaku, przenośni. Nie należy tutaj się mylić, choć wielka pokusa leży w chrześcijańskim, chęć

nie tak widzieć coś, jak się widzi: czy kłamstwo dzieje się wobec świadków czy bez świadków, to nie wchodzi w rachubę. Najzwyczajszym kłamstwem jest to, którym okłamujemy siebie samych; okłamywanie drugich jest względnie wypadkiem wyjątkowym. Otóż ta chęć *nie* widzenia czegoś, co się widzi, ta chęć widzenia czegoś *nie* tak, jak się widzi, jest nieledwo pierwszym warunkiem wszystkich, którzy są partią, w jakimkolwiek znaczeniu: człowiek partyjny staje się z konieczności kłamcą. Niemieckie dziejopisarstwo na przykład jest przekonane, że Rzym był despotyzmem, że Germanie przynieśli na świat ducha wolności: jakaż różnica między tym przekonaniem a kłamstwem? Można się jeszcze temu dziwić, gdy z instynktu wszystkie partie, także historycy niemieccy, mają na ustach wielkie słowa moralności – iż moralność nieledwo przez to trwa, że człowiek partyjny wszelkiego rodzaju potrzebuje jej każdej chwili? – „To jest naszym przekonaniem: wyznajemy je przed całym światem, żyjemy dla niego i umrzemy za nie – czołem przed wszystkim, co ma przekonania!” – Coś podobnego słyszałem nawet z ust antysemitów. Przeciwnie, moi panowie! Antysemita nie jest zgoła przez to przyzwoitszy, że kłamie z zasady. . . Kapłani, którzy są w takich sprawach subtelniejsi i bardzo dobrze rozumieją zarzut leżący w pojęciu przekonania, to znaczy zasadniczej, ponieważ celowi służącej kłamliwości, odziedziczyli po Żydach roztropność wpisania natomiast pojęcia „Boga”, „woli Bożej”, „objawienia Bożego”. Także Kant, z swym kategorycznym imperatywem, był na tej samej drodze: rozum jego stał się tu *praktyczny*. – Istnieją zagadnienia, w których rozstrzygnięcie o prawdzie i nieprawdziwości człowiekowi nie przysługują; wszystkie najwyższe zagadnienia, wszystkie najwyższe problemy wartości są poza ludzkim rozumem. . . Pojąć granice rozumu – *to* dopiero prawdziwie filozofia. . . Po co dał Bóg człowiekowi objawienie? Czyżby Bóg uczynił coś zbędnego? Człowiek nie może wiedzieć sam z siebie, co jest dobre i złe, przeto pouczył go Bóg o swej woli. . . Morał: kapłan *nie* kłamie; pytań „prawda” lub „nieprawda” nie ma w takich rzeczach, o których mówią kapłani; rzeczy te nie pozwalają zgoła kłamać. Bo aby kłamać, trzeba by móc rozstrzygać, *co* tu jest prawdą. Lecz tego nie może właśnie człowiek; kapłan jest zatem narzędziem głosu Boga. – Taki syllogizm kapłański nie jest zgoła tylko żydowski i chrześcijański; prawo do kłamstwa i roztropność „objawienia” jest właściwa typowi kapłana, tak samo kapłanom *decadence* jak kapłanom pogaństwa (poganami są wszyscy, którzy potakują życiu, dla których „Bóg” jest wyrazem na wielkie „Tak”, potwierdzające wszystkie rzeczy). – „Prawo”, „wola Boża”, „księga święta”, „natchnienie” – wszystko tylko słowa na warunki, pod którymi kapłan dochodzi do mocy, z pomocą, których utrzymuje moc swoją – pojęcia te znajdują się u podwalin wszelkich organizacji kapłańskich, wszystkich kapłańskich lub filozoficzno-kapłańskich ustrojów władczych. „Kłamstwo święte” – wspólne Konfucjuszowi, Księdze Praw Manu, Mahometowi, Kościołowi chrześcijań-

sza niż on sam, zabiera w służbę cały jego intelekt; wznosi ponad skrupuły; daje mu odwagę nawet do nieświętych środków; używa mu w pewnych razach przekonani. Przekonanie jako środek: wiele osiąga się tylko z pomocą przekonania. Wielka namiętność używa przekonani, zużywa je, nie poddaje się im – czuje się samowładna. – Odwrotnie: potrzeba wiary, jakiegoś bezwzględnie „tak” lub „nie”, *carlyleizm*, jeśli to słowo znajdzie pobłażanie, jest potrzeba słabości. Człowiek wierzący, „wyznawca” wszelkiego rodzaju jest z konieczności człowiekiem zależnym – takim, który nie umie siebie za cel postawić, który sam z siebie w ogóle celów stawiać nie umie. „Wierzący” nie jest swoją własnością, może być tylko środkiem, musi zostać zużyty, potrzebuje kogoś, kto go zużywa. Instykt jego oddaje moralności wyzucia się z samego siebie cześć najwyższą: wszystko nakłania go do niej, jego roztropność, jego doświadczenie, jego próżność. Każdy rodzaj wiary jest sam wyrazem wyzucia się z siebie, zobojętnienia na siebie. . . . Jeśli się zważy, jak konieczny jest większości ludzi regulatyw, który ich z zewnątrz wiąże i utwierdza, jak mus, w wyższym znaczeniu niewolniczości, jest jedynym i ostatecznym warunkiem, pod którym rozwija się człowiek słabszej woli, zwłaszcza kobieta: to rozumiemy też przekonanie, „wiarę”. Jest ona dla człowieka o przekonaniach kręgosłupem. *Nie* widzieć wielu rzeczy, być na każdym punkcie skrupowatym, być na wskroś partią, mieć ścisłą i konieczną optykę w stosunku do wszystkich wartości – to jedynie jest warunkiem istnienia w ogóle takiego rodzaju człowieka. Lecz tym samym jest on przeciwieństwem, antagonistą prawdziwego – prawdy. . . . Wierzącemu nie dano do woli brać w ogóle sumienie zagadnienie „prawdy” i „nieprawdy”: być uczciwym na tym punkcie, to by sprowadziło natychmiast jego upadek. Patologiczna warunkowość jego optyki czyni z przekonanego fanatyka – Savonaroli, Lutra, Rousseau, Robespierre’a, Saint-Simona – przeciwny typ silnego oswobodzonego ducha. Lecz wielka postawa tych chorych duchów, tych epileptyków pojęciowych, działa na wielkie tłumy – fanatycy są malowniczy, ludzkość patrzy na gesty chętniej niż słuca argumentów. . . .

55. – Dalszy krok w psychologii przekonania, „wiary”. Dawno już poleciłem rozważyć, czy przekonania nie są niebezpieczniejszymi wrogami prawdy niż kłamstwa (Ludzkie, arcyłudzkie I, aforyzmy 54 i 483). Tym razem chciałbym zadać rozstrzygające pytanie: czy między kłamstwem a przekonaniem istnieje w ogóle przeciwieństwo? – Cały świat w to wierzy; lecz w cóż nie wierzy świat cały! – Każde przekonanie ma swoje dzieje, swoje poprzednie kształty, swoje zakusy i chybiecia: staje się ono przekonaniem, *nie* będąc przedtem nim długo, jeszcze dłużej będąc nim za ledwie. Jak to? Nie mogłoby między tymi embrionalnymi formami przekonania być także kłamstwo? – Czasem potrzeba tylko zmiany osoby: w synu staje się przekonaniem, co w ojcu jeszcze kłamstwem było. – Zwę kłamstwem chcieć *nie* widzieć czegoś, co się widzi, chcieć

rzec w kościelnym przesądzie: taka symbolika *par excellence* stoi poza obrębem wszelkiej religii, wszelkich pojęć kultu, wszelkiej historii, wszelkich nauk przyrodniczych, wszelkich doświadczeń świata, wszelkiego poznania, wszelkiej polityki, wszelkiej psychologii, wszelkich książek, wszelkiej sztuki – jego „wiedza” jest właśnie czystą głupotą na punkcie, że istnieje coś podobnego. Kultura nie jest mu znana nawet ze słyszenia, nie potrzeba mu walki przeciw niej – on jej nie zaprzecza. . . . To samo stosuje się do *państwa*, do całego obywatelskiego porządku i społeczności, do *pracy*, do wojny – nie miał on nigdy powodu zaprzeczać „świata”, nie przeczuwał nigdy kościelnego pojęcia „świat” Zaprzeczanie jest dlań właśnie zgola niemożliwością. – Tak samo brak dialektyki, brak wyobrażenia, że wiarę, „prawdę” można udowodniać argumentami (jego dowodami są wewnętrzne „światła”, wewnętrzne uczucia przyjemne i potwierdzenia siebie, same „dowody siły”). Taka nauka nie może też przeczyć, nie pojmuje ona nawet, że inne nauki istnieją, istnieć mogą, nie umie może wcale wyobrazić sobie przeciwnego sądzenia. . . . Odzieje napotka, będzie z najgłębszego współczucia smucić się „ślepotą” – bo ona widzi „światło” – lecz nie zrobi zarzutu. . . .

33. W całej psychologii Ewangelii brak pojęcia winy i kary; tak samo pojęcia nagrody. „Grzech”, każdy stosunek odległości między człowiekiem i Bogiem jest usunięty – to jest właśnie „nowina radosna”. Nie obiecuje się szczęśliwości, nie przywiązuje się jej do warunków: jest ona jedyną rzeczywistością – reszta jest znakiem do mówienia o niej. . . . Skutek takiego stanu przerzuca się w nową praktykę, w właściwie ewangeliczną praktykę. Nie „wiara” odróżnia chrześcijanina: chrześcijanin działa, odróżnia się innym działaniem. Że temu, który jest dlań zły, nie stawia oporu ani słowem, ani w sercu. Że nie czyni różnicy między obcym a tubylcem, między Żydem a nie-Żydem („bliźni”, właściwie współwyznawca, Żyd). Że na nikogo się nie gniewa, nikogo nie waży lekce. Że ani się w sądach nie pokazuje, ani się nie daje w nie wciągać („nie przysięgać”). Że w żadnym wypadku, nawet w razie dowiedzionej niewierności swej żony, nie rozwodzi się z żoną. – Wszystko w gruncie rzeczy jedna zasada, wszystko skutki jednego instyktu. Życie Zbawiciela nie było odmienne od tej praktyki – śmierć jego też odmienna nie była. . . . Nie potrzebował on już żadnych formuł, żadnego obrządku dla obcowania z Bogiem – ani nawet modlitwy. Zerwał z całą żydowską nauką pokuty i pojednania; wie on, że jedynie w praktyce życiowej czuje, się człowiek „boskim”, „szczęśliwym”, „ewangelicznym”, każdego czasu „dzieckiem Boga”. *Nie* „pokuta”, *nie* „modlitwa o przebaczenie” jest drogą do Boga: jedynie praktyka ewangeliczna wiedzie do Boga, ona właśnie jest „Bogiem”. – Co z Ewangelią odrzucone zostało, to żydostwo pojęć „grzechu”, „przebaczenia grzechu”, „wiary”, „zbawienia przez wiarę” – cała żydowska nauka kościelna zaprzeczona została w „nowinie radosnej”. Głęboki instykt w tym, jak się żyć musi, by się czuć „w niebie”, by się czuć

„wiecznym”, podczas gdy przy każdym innym prowadzeniu życia czuje się człowiek wcale *nie* w niebie: to jedynie jest psychologiczną rzeczywistością „zbawienia”. – Nowy sposób postępowania, *nie* nowa wiara. . .

34. Jeśli cokolwiek rozumiem z tego wielkiego symbolisty, to to, że tylko wewnętrzną rzeczywistość brał za rzeczywistość, za „prawdę”, – że resztę, wszystko, co naturalne, czasowe, przestrzenne, historyczne, rozumiał tylko jako znak, jako sposobność do przenośni. Pojęcie „syn człowieczy” nie jest osobą konkretną, należącą do historii, czymś szczególnym, jednorazowym, lecz „wieczną” faktycznością, symbolem psychologicznym, wyzwolonym z pojęcia czasu. To samo stosuje się raz jeszcze, i w najwyższym znaczeniu, do Boga, tego typowego symbolisty, do „Królestwa Bożego”, do „Królestwa Niebieskiego”, do „synostwa boskiego”. Nie ma nic bardziej niechrześcijańskiego od kościelnych surowizn o Bogu jako o osobie, o „Królestwie Bożym”, które przyjdzie; o „Królestwie Niebieskim” *zaświatem*, o „Synu Bożym”, drugiej osobie Trójcy. Wszystko to przystaje – wybaczenie mi to wyrażenie – jak pięść do nosa. Och, do jakiego nosa – Ewangelii! Jest to wszechhistoryczny cynizm w wyszydzeniu symbolu. . . Lecz to jasne przecie jak na dłoni, czego dotyczą znaki „Ojciec” i „Syn”, – nie na każdej dłoni, przypuszczam: słowo „Syn” wyraża wejście w uczucie wszechprzejaśnienia wszystkich rzeczy (błogość), słowo „Ojciec” to uczucie samo, uczucie wieczności i spełnienia. – Wstyd mi przypominać, co Kościół uczynił z tego symbolizmu: czyż nie umieścił na progu „wiary” chrześcijańskiej historii Amfitriona? A nadto jeszcze dogmatu o „niepokalanym poczęciu”? Ale przez to pokalał poczęcie – „Królestwo Niebieskie” jest stanem serca – nie czymś, co przyjdzie „ponad ziemią” lub „po śmierci”. Całego pojęcia śmierci naturalnej brak w Ewangelii: śmierć nie jest mostem, przejściem, brakuje jej, ponieważ przynależy do zgoła innego, tylko pozornego świata, zdatnego tylko na znaki. „Godzina śmierci” *nie* jest pojęciem chrześcijańskim – „godzina”, czas, życie fizyczne i jego przesilenia nie istnieją dla nauczyciela „radosnej nowiny”. . . „Królestwo Boże” nie jest czymś, czego się oczekuje; nie ma ono żadnego wczoraj ni pojutrze, nie przyjdzie za „tysiąc lat”, – jest ono doświadczeniem serca; istnieje wszędzie, nie istnieje nigdzie. . .

35. Ten „radosny zwiastun” umarł jak żył, jak uczył – nie aby „zbawić ludzi”, lecz by pokazać, jak się żyć winno. Co pozostawił ludziom, to praktykę: swe zachowanie się wobec sędziów i siepaczy, wobec oskarżycieli i wszelkiego rodzaju oszczerstwa i szyderstwa – swoje zachowanie się na krzyżu. Nie opiera się, nie broni swego prawa, nie czyni ani kroku, by uniknąć ostateczności, więcej jeszcze, wyzywa ją. . . I prosi, cierpi, kocha wraz z tymi, w tych, którzy mu krzywdę czynią. . . Nie bronić się, *nie* gniewać się, *nie* czynić odpowiedzialnym. . . Lecz także nie opierać się złemu – kochać go. . .

nie posiada, tak myśleć o prawdzie mogą co najwyżej chłopci lub apostołowie chłopscy w rodzaju Lutra. Można być pewnym, że stosownie do stopnia sumienności w rzeczach ducha rośnie zawsze skromność na tym punkcie, poprzestawanie. Kilka rzeczy wiedzieć i delikatną ręką odsunąć wiedzenie ponadto. . . „Prawda”, jak słowo to rozumie każdy prorok, każdy sekciarz, każdy wolnomyślny, każdy socjalista, każdy członek Kościoła, jest doskonałym dowodem, że nie uczyniono nawet choćby tylko pierwszego kroku na drodze owej karności ducha i samoprzewyciężenia, które potrzebne są do znalezienia małej, nawet najmniejszej prawdy. – Śmierci męczeńskie, mówiąc dodatkowo, były wielkim nieszczęściem w dziejach: uwodziły. . . Wniosek idiotów, wliczając tu kobietę i tłum, że pewna sprawa, dla której ktoś na śmierć idzie (lub która nawet, jak pierwsze chrześcijaństwo, wytwarza epidemie żądzy śmierci), ma jakieś znaczenie – wniosek ten stał się dla badacza, dla ducha badania i ostrożności niezmiernym hamulcem. Męczennicy szkodzili prawdzie. . . I dziś jeszcze potrzeba tylko surowości prześladowania, by najobojetniejszemu w sobie sekciarstwu wytworzyć zaszczytne imię. – Jak to? Czy zmienia to wartość jakiej rzeczy, że ktoś za nią swe życie oddaje? – Błąd, który zaszczytnym się staje, jest błędem posiadającym o jeden urok uwodny więcej: sędzić, panowie teologowie, że damy wam sposobność grać rolę męczenników za wasze kłamstwo? – Zbija się sprawę, pozwalając jej z szacunkiem osiąść na lodzie – tak samo zbija się też teologów. . . To właśnie było wszechhistoryczną głupotą wszystkich prześladowców, że nadawali przeciwnej sprawie pozór zaszczytności – że dawali jej w darze czar męczeństwa. . . Kobieta kłęczy dziś jeszcze przed błędem, gdyż powiedziano jej, że ktoś zań umarł na krzyżu. Jestże krzyż argumentem? – Lecz o wszystkich tych rzeczach ktoś jedyny rzekł słowo, którego potrzeba było od stuleci – Zaratustra. „Krwawe znaki wypisali na drodze, po której szli, a ich szaleństwo uczyło, że krwią dowodzi się prawdy. Lecz krew jest najgorszym świadkiem prawdy; krew zatrąwa najczystsza nawet naukę, czyniąc z niej obłąd i nienawiść serc. A choćby kto przez ogień przeszedł dla nauki swojej – czegoż to dowodzi! Zaprawdę, więcej to, gdy własna nauka z własnego rodzi się żaru”. (Zaratustra str. 123, 124).

54. Nie należy dawać się w błąd wprowadzać: wielkie duchy są sceptyczne. Zaratustra jest sceptykiem. Siła, wolność z siły i nadsily ducha dowodzi się sceptycyzmem. Ludzi przekonania nie bierze się w rachubę w żadnych zasadniczych sprawach wartości i bezwartości. Przekonania to więzienia. Nie patrzy to dość daleko, nie patrzy pod siebie: lecz aby móc zabierać głos w sprawie wartości i niewartości, trzeba pięćset przekonań pod sobą widzieć – *za* sobą widzieć. . . Duch, który chce czegoś wielkiego, który chce i środków do tego, jest z konieczności sceptykiem. Wolność od wszelkiego rodzaju przekonań jest właściwą siłą, możnością swobodnego patrzenia. . . Wielka namiętność, podstawa i moc jego bytu, jeszcze bardziej oświecona, jeszcze despotyczniej-

„wiarą”, być formą choroby, muszą wszystkie proste, rzetelne, naukowe drogi do poznania być uchylone przez Kościół jako drogi zakazane. Wątpliwość już jest grzechem. . . Zupełny brak psychologicznej schludności u kapłana – zdradzający się w spojrzeniu – jest zjawiskiem skutku *decadence* – należy obserwować historyczne niewiasty oraz dzieci o rachitycznych zadatkach co do tego, jak prawidłowo fałszywość z instynktu, rozkosz z kłamstwa dla kłamstwa, niezdolność do prostych spojrzeń i kroków jest wyrazem *decadence*. „Wiarą” zwie się: nie chce wiedzieć co jest prawdą. Pobożny, kapłan obojga płci, jest fałszywy, ponieważ jest chory: instynkt jego żąda, by prawda nigdy nie miała słuszności. „Co czyni chorym, jest dobre; co pochodzi z pełni, z nadmiaru, z mocy, jest *złe*”: tak odczuwa wierzący. Niewolność kłamstwa – po tym odgaduję każdego urodzonego teologa. – Inną odznaką teologa jest jego niezdolność do filologii. Przez filologię rozumiemy tu, w bardzo ogólnym znaczeniu, sztukę dobrego czytania – umiejętność odczytywania faktów, bez fałszowania ich interpretacją, *nie* tracąc w pożądanym zrozumieniu ostrożności, cierpliwości, subtelności. Filologia jako *ephexis* w interpretacji: czy to chodzi o książki, o nowiny dziennikarskie, o losy lub fakty, dotyczące pogody – nie mówiąc już o „zbawieniu duszy”. . . Sposób, w jaki teolog, obojętne czy w Berlinie, czy w Rzymie, wyklada „słowo Pisma” lub jakieś zdarzenie, zwycięstwo wojsk ojczystych na przykład w wyższym świetle Psalmów Dawidowych, jest zawsze tak *śmiały*, że filolog przy tym skacze do sufitu. A cóż dopiero ma robić, gdy pobożnisie i inne krowy ze Szwabii przyrządzają sobie przy pomocy palca Bożego ze swej mizernej codzienności i z izdebnego zaduchu swego istnienia cud „łaski”, „opatrzności”, „zbawiennych doświadczeń”! Najmniejszy nakład ducha, by nie rzec przyzwoitości, musiałby przecie doprowadzić tych interpretatorów do przekonania się o zupełnym dzieciństwie i niegodności takiego nadużywania boskiej biegłości palcowej. Nawet przy bardzo małym mierze bogobojności Bóg taki, który w samą porę leczy z kataru, który nam każe wsiąść w karetę w chwili, gdy właśnie spada ulewa, winien by być dla nas tak niedorzecznym Bogiem, żebyśmy musieli go usunąć, nawet gdyby istniał. Bóg jako posługacz, jako listonosz, jako przestrzegacz kalendarza – jest właśnie wyrazem na najgłupszy rodzaj wszelkich przypadków. . . „Opatrzność boska”, w jaką dziś jeszcze wierzy prawie co trzeci człowiek w „wykształconych Niemczech”, byłaby takim zarzutem przeciw Bogu, że silniejszego pomyśleć by sobie nie można. A jest w każdym razie zarzutem przeciw Niemcom! . . .

53. – Że męczennicy są jakimś dowodem prawdy pewnej sprawy, jest tak mało prawdą, żebym przeczył, iż męczennik jakiś miał w ogóle kiedykolwiek coś z prawdą do czynienia. W tonie, w którym męczennik w łeb światu ciska swe uważanie czegoś za prawdę, wyraża się już tak niski stopień uczciwości intelektualnej, taka tępotna na zagadnienie „prawdy”, że męczennika nigdy zbijać nie trzeba. Prawda nie jest czymś, co jeden posiada, a czego inny

36. Dopiero my, my duchy oswobodzone, mamy warunek po temu, by rozumieć coś, czego dziewiętnaście wieków nie rozumiało – ową w instynkt i namiętność przeistoczoną uczciwość, która „kłamstwo święte” jeszcze bardziej zwalcza niż wszelkie inne kłamstwo. . . Było się niewymownie oddalonym od naszej miłosnej i ostrożnej bezstronności, od owej karności ducha, która jedynie umożliwia zgadywanie tak obcych, tak delikatnych rzeczy: chciano każdego czasu, z bezwstydnym samolubstwem, tylko swojej w tym korzyści, z przeciwieństwa do Ewangelii zbudowano *Kościół*. . . Kto szuka znaków tego, że poza wielką grą światów jakieś ironiczne bóstwo porusza palcami, ten znajdzie wsparcie niemałe w potwornym znaku pytania, który się zwie chrześcijaństwem. Że ludzkość leży na kolanach przed przeciwieństwem tego, co było źródłem, myślą, prawem Ewangelii, że w pojęciu „Kościół” uświęciła to właśnie, co „radosny zwiastun” odczuwał jako pod sobą, jako poza sobą – daremnie szukać większej formy wszechhistorycznej ironii –

37. Stulecie nasze jest dumne ze swego zmysłu historycznego: jak mogło uczynić sobie do wiary tę niedorzeczność, że na początku chrześcijaństwa stoi gruba bajka o cudotwórcy i *Zbawicielu* – a wszystko duchowe i symboliczne jest dopiero późniejszym rozwojem? Odwrotnie: dzieje chrześcijaństwa – a zwłaszcza od śmierci na krzyżu – są dziejami coraz grubszego stopniowo nierozumienia pierwotnego symbolizmu. Z każdym rozprzestrzenieniem chrześcijaństwa na coraz szersze, coraz surowsze masy, coraz dalsze od założeń, z których się ono urodziło, rosła potrzeba wulgaryzowania, barbaryzowania chrześcijaństwa – wchłonęło ono w siebie nauki i obrzędy wszystkich podziemnych kultów imperium Romanum, niedorzeczność wszystkich rodzajów chorego rozumu. Los chrześcijaństwa tkwi w konieczności, że wiara jego musiała sama stać się tak chora, niska i wulgarna, jak chore, niskie i wulgarne były potrzeby, które zadawała miała. Jako Kościół skupia się wreszcie samo chore barbarzyństwo w potęgę – Kościół, ta forma śmiertelnej wrogości względem wszelkiej uczciwości, wszelkiej wyżyny duszy, wszelkiej karności ducha, wszelkiej szczerzej i dobrotliwej ludzkości. – Chrześcijańskie – dostojne wartości: dopiero my, my duchy oswobodzone przywróciliśmy do dawnego stanu to największe przeciwieństwo wartości, jakie istnieje! –

38. – Nie tłumię w tym miejscu westchnienia. Są dnie, kiedy nawiedza mnie uczucie, czarniejsze niż najczarniejsza melancholia – pogarda ludzi. I aby żadnej nie zostawić wątpliwości co do tego, czym pogardzam, *kim* pogardzam: człowiekiem dzisiejszym, człowiekiem, któremu fatalnie jestem współczesny. Człowiek dzisiejszy – dusi mnie jego oddech nieczysty. . . Do przeszłości odnoszę się, podobnie wszystkim poznającym, z wielką tolerancją, to znaczy z wielkodusznym samoprzewyciężeniem: krocę poprzez światowy dom wariatów całych stuleci, czy się on zowie „chrześcijaństwem”, „wiarą chrześcijańską”, „Kościółem chrześcijańskim”, z posępną ostrożnością – wy-

strzegam się czynić ludzkość odpowiedzialną za jej choroby umysłowe. Lecz uczucie me przemienia się, wybucha, skoro tylko wstępuję w czas nowszy, w *nas* z czas. Nasz czas jest *wiedzący*. . . Co dawniej było tylko chore, stało się dziś nieprzyzwoite – nieprzyzwoitością jest być dziś chrześcijaninem. I tu zaczyna się mój wstręt. – Oglądam się wstecz: ani słowa nie pozostało już po tym, co niegdyś „prawdą” się zwało, nie możemy już wytrzymać, gdy kapłan słowo „prawda” ma choćby tylko na ustach. Nawet przy najskromniejszej prentensji do uczciwości musi się dziś wiedzieć, że teolog, kapłan, papież każdym zdaniem, które wypowiada, nie tylko błądzi, lecz łże – że nie może już klamać z „niewinności”, z „nieświadomości”. I kapłan wie, tak samo jak wie każdy, że nie ma już „Boga”, „grzesznika”, „Zbawiciela”, – że „wolna wola”, „moralny porządek świata” są *lgarstwem*: – powaga, głębokie samoprzewyciężenie ducha nie *pozwała* już dziś nikomu *nie* wiedzieć o tym. . . Wszystkie pojęcia Kościoła poznano jako to, czym są, jako najgorszego rodzaju fałszerstwo monet, jakie istnieje, w celu *odarcia* z wartości natury, wartości naturalnych; samego kapłana poznano, jako to, czym jest, jako najniebezpieczniejszy rodzaj pasożyta, jako właściwego jadowitego pająka życia. . . Wiemy, nasze sumienie wie dzisiaj – co w ogóle warte są, do czego służą owe niesamowite wynalazki kapłanów i Kościoła, którymi osiągnięto ów stan samopohańbienia ludzkości, mogący wzbudzić wstręt na jej widok – pojęcia „zaświat”, „Sąd Ostateczny”, „nieśmiertelność duszy”, „dusza” sama; są to narzędzia tortur, są to systemy okrucieństwa, których mocą kapłan stał się panem, został panem. . . Każdy to wie: a mimo to wszystko zostaje po staremu. Gdzie podziało się ostatnie uczucie przyzwoitości, szacunku dla samego siebie, gdy nawet nasi mężowie stanu, bardzo zresztą bezprzesądny rodzaj człowieka i na wskroś antychryści czynu, zwą się dziś jeszcze chrześcijanami i chodzą do komunii? . . . Książę na czele swych pułków, wspaniała jako wyraz samolubstwa i pychy swego ludu – lecz wyznający się, bez żadnego wstydu, chrześcijaninem! . . . Kogóż jednak zaprzecza chrześcijaństwo? Co zwie „światem”? Że się jest żołnierzem, że się jest sędzią, że się jest patriotą; że się broni siebie; że się dba o cześć swoją; że się chce własnych korzyści; że się jest dumnym. . . Każda praktyka każdej chwili, każdy instynkt, każda stająca się czynem ocena wartości jest dziś przeciwchrześcijańska: jakim potworem fałszu musi być człowiek nowoczesny, że się mimo to nie wstydzi zwać jeszcze chrześcijaninem!—

39. – Wracam do rzeczy, opowiem istotną historię chrześcijaństwa. – Już słowo „chrześcijaństwo” jest nieporozumieniem – w gruncie istniał tylko jeden chrześcijanin i ten umarł na krzyżu. „Ewangelia” umarła na krzyżu. Co od tej chwili zwie się „Ewangelią”, było już przeciwieństwem tego, co on przeżył: „złą nowiną”, *dysangelium*. Jest to fałszywe aż do niedorzeczności, jeśli się znamię chrześcijanina widzi w „wierze”, może w wierze w zbawienie przez Chrystusa: jedynie praktyka chrześcijańska, życie takie, jakie zmarły na krzyżu przeży-

można), jako metodycznie wytwarzaną *folie circulaire*, jak słuszna, na przygotowanym już do tego, to jest do dna chorobliwym gruncie. Nikomu nie jest pozostawione do woli być chrześcijaninem: na chrześcijaństwo nie zostaje się „nawróconym” – trzeba być dostatecznie na to chorym. . . My inni, którzy mamy odwagę do zdrowia i także do pogardy, jakże byśmy byli *my* uprawnieni do pogardzania religią, która uczy tak źle rozumieć ciało! Która nie chce się wyzbyć zabobonu duszy! Która z niedostatecznego odżywiania robi „zasługę”! Która w zdrowiu zwalcza pewnego rodzaju wroga, diabła, pokusę! Która wmówiła w siebie, że można „doskonałą duszę” obnosić w trupim ciele i musiała na to przyrzucić sobie nowe pojęcie „doskonałości”, bładą, chorowitą, idiotycznie marzycielską istotę, tak zwaną „świętość” – świętość, która sama jest tylko szeregiem objawów zubożalego, zdenerwowanego, nieuleczalnie zepsutego ciała! . . . Ruch chrześcijański, jako ruch europejski, jest od samego początku zbiorowym ruchem wyrzutków i odpadkowych pierwiastków wszelkiego rodzaju (chcą one przez chrześcijaństwo dojść do władzy). *Nie* wyraża on upadku rasy, jest on skupieniem stłaczających się i szukających się form *decadence* zewsząd. To *nie* zepsucie, jak się mniema, samej starożytności, dostojnej starożytności, umożliwiło chrześcijaństwo: nie można się dość twardo sprzeciwić uczonemu idiotyzmowi, który i dziś jeszcze coś podobnego utrzymuje. W czasie, gdy chore, zepsute warstwy czandaków chrystianizowały się w całym imperium, istniał właśnie typ przeciwny, dostojność, w swej najpiękniejszej i najdojrzałszej postaci. Wielka liczba stała się panem; demokratyzm instynktów chrześcijańskich zwyciężał. . . Chrześcijaństwo nie było „narodowe”, nie uwarunkowane rasą – zwracało się do wszelkiego rodzaju wydziedziczonych w życiu, miało wszędzie swych sprzymierzeńców. Chrześcijaństwo zwróciło *rancune* gruntownie chorych, instynkt, przeciwko zdrowym, przeciwko zdrowiu. Wszystko pomyślnie udane, dumne, zuchwałe, piękność przede wszystkim kłula je w uszy i w oczy. Raz jeszcze przypominam nieocenione słowa Pawła: „Co mdłe jest u świata, co głupie jest u świata, a podłego rodu u świata i wzgardzone, wybrał Bóg”: *to* była formuła, *in hoc signo* zwyciężyła *decadence*. – Bóg na krzyżu – nie rozumiecie ciągle jeszcze straszliwości ukrytej myśli tego symbolu? – Wszystko, co cierpi, wszystko, co wisi na krzyżu, jest boskie. . . My wszyscy wisimy na krzyżu, przeto *my* jesteśmy boscy. . . My jedynie jesteśmy boscy. . . Chrześcijaństwo było zwycięstwem, zginał przez nie *dostojniejszy* sposób myślenia – chrześcijaństwo było dotąd największym nieszczęściem ludzkości.

52. Chrześcijaństwo stoi też na stanowisku przeciwnym wszelkiej duchowej udaności – *może* potrzebować, jako rozumu chrześcijańskiego, tylko chorego rozumu, staje po stronie wszystkiego co idiotyczne, wygłasza klątwę przeciw „duchowi”, przeciwko *superbia* zdrowego ducha. Ponieważ choreba jest właściwa istocie chrześcijaństwa, musi stan typowo chrześcijański,

tylko przybiecane: szczęśliwość przywiązana do warunku „wiary” – *powinno* się być szczęśliwym, ponieważ się wierzy. . . Lecz, że rzeczywiście nastąpi, co kapłan obiecuje wierzącemu w nieprzystępnym żadnej kontroli „zaświecie”, czym tego dowieść? – Mniemany „dowód siły” jest więc w gruncie znów tylko wiarą w to, że nie chybi skutek, który sobie człowiek po wierze obiecuje. W formule: „wierzę, że wiara uszczęśliwia – przeto jest prawdziwa”. – Lecz wraz z tym jesteśmy już u kresu. To „przeto” byłoby istotnym *absurdum* jako kryterium prawdy. – Przypuśćmy jednak, z pewną ustępliwością, że uszczęśliwienie dowiedzione jest przez wiarę (*nie* tylko pożądane, *nie* tylko przyrzeczone przez nieco podejrzane usta kapłana): byłaby szczęśliwość, mówiąc techniczniej, przyjemność – kiedykolwiek dowodem prawdy? Tak mało, że jest to nieledwo przeciwdowodem, w każdym razie najwyższym podejrzeniem względem prawdy, jeżeli uczucia przyjemne wtrącają swój głos do pytania „co jest prawdziwe?” Dowód przyjemności jest dowodem „przyjemności” – nic więcej; skądże u diaska pewność, że właśnie prawdziwe sądy sprawiają większą przyjemność niż fałszywe i że, wedle harmonii przedustawnej, pociągają za sobą koniecznie przyjemne uczucia? – Doświadczenie wszystkich surowych, wszystkich głębokich duchów przeciwie. Musiano zdobywać na sobie każdą piędź prawdy, musiano prawie wszystko w zamian poświęcić, do czego dawniej lgnęło nasze serce, nasza miłość, nasze zaufanie do życia. Wielkości duszy na to trzeba: służenie prawdzie jest najtwardszą służbą. – Cóż to znaczy być rzetelnym w rzeczach ducha? Że się jest surowym względem serca swego, że się w pogardzie ma piękne uczucia, że się z każdego „tak” i „nie” czyni sprawę sumienia! – Wiara uszczęśliwia: przeto lże. . .

51. Że wiara czasem uszczęśliwia, że szczęśliwość z pewnej *idee fixe* nie czyni jeszcze prawdziwej idei, że wiara gór nie przenosi, lecz owszem góry osadza tam, gdzie żadnych nie ma: o tym poucza nas przelotne przejście się przez dom wariatów. Oczywiście *nie* [dla] kapłana: on bowiem przeczy z instynktu, że choroba jest chorobą, dom wariatów domem wariatów. Chrześcijaństwo potrzebuje choroby, nieledwo jak hellenizm potrzebuje nadwyżki zdrowia – *czynić* chorym jest właściwym ukrytym zamiarem całego systemu procedur leczniczych Kościoła. A sam Kościół – nie jest że to katolicki dom wariatów jako ostateczny ideał? – Ziemia w ogóle jako dom wariatów? – Człowiek religijny, jak go chce Kościół, to typowy *decadent*; czas, w którym przesilenie religijne opanowuje jakiś lud, cechują każdym razem epidemie nerwowe; „świat wewnętrzny” człowieka religijnego jest do złudzenia podobny do „świata wewnętrznego” przeczulonych i wyczerpanych; „najwyższe” stany, które chrześcijaństwo zawiesiło nad ludzkością jako wartość nad wartościami, są formami epileptoidalnymi – Kościół uświęcał tylko obłąkanych *lub* oszustów *in maiorem dei gloriam*. Pozwoliłem sobie raz określić cały chrześcijański *training* pokuty i zbawienia (który dziś w Anglii najlepiej studiować

wał, jest chrześcijańskie. . . Dziś jeszcze jest takie życie możliwe, dla *pewnych* ludzi nawet konieczne: istotne, pierwotne chrześcijaństwo będzie po wszystkie czasy możliwe. . . *Nie* wiara, lecz czynienie, przede wszystkim *nie* czynienie wielu rzeczy, inne bycie. . . Stany świadomości, jakaś wiara, jakieś uważanie czegoś za prawdę na przykład – wie to każdy psycholog – są przecie zgoła obojętne i na piątym miejscu wobec wartości instynktów: ściślej mówiąc, całe pojęcie duchowej przyczynowości jest fałszywe. To, że się jest chrześcijaninem, chrześcijańskość sprowadzać do uważania czegoś za prawdę, do czystej zjawiskowości uświadomienia, znaczy zaprzeczać chrześcijańskości. W istocie nie było żadnego *chrześcijanina*. „Chrześcijanin”, to co od dwóch tysiącleci zwie się „chrześcijaninem”, jest tylko psychologicznym względem siebie nieporozumieniem. Gdy przyjrzymy się dokładniej, to władną w nim, *mimo* wszelkiej „wiary”, tylko instynkty – i co za *instynkty!* – Wiara była wszecch czasów, na przykład u Lutra, tylko płaszczem, pretekstem, *zastoną*, poza którą instynkty wiodły swą grę – roztropną *ślepotą* na panowanie pewnych instynktów. . . „Wiara,, – nazwałem ją już właściwą roztropnością chrześcijańską – *mówiono* zawsze o „wierze”, czyniono zawsze tylko z instynktu. . . W świecie wyobrażeń chrześcijanina nie zdarza się nic, co by choć tylko dotyczyło rzeczywistości: natomiast poznaliśmy w instynktownej nienawiści, zwróconej przeciw wszelkiej rzeczywistości, pędzący, jedynie pierwiastek pędzący w korzeniu chrześcijaństwa. Co stąd wynika? Że także tu *in psychologicis* błąd jest radykalny, to jest określa istotę, jest substancją. Odjąć tu jedno pojęcie, dodać zamiast niego jedną rzeczywistość – a całe chrześcijaństwo stoczy się w nicość! – Widziany z wyżyny, pozostaje ten najdziwniejszy z wszystkich faktów, ta nie tylko przez błędy uwarunkowana, lecz także tylko w szkodliwych, tylko w zatruwających życie i serce błędach wynalazcza i nawet genialna religia, widowiskiem dla bogów – dla owych bóstw, które zarazem są filozofami, i z którymi spotkałem się na przykład w owych sławnych rozmowach na Naxos. W chwili, gdy opuszcza je *wstręt* (i nas!), stają się wdzięczne za widowisko z chrześcijanina: nędzna, mała gwiazda, która się ziemią zowie, zasługuje może jedynie gwoli *temu* ciekawemu wypadkowi na boskie spojrzenie, boski współudział. . . Nie lekceważmy bowiem chrześcijanina: chrześcijanin, fałszywy aż do niewinności, stoi o wiele wyżej od małpy – ze względu na chrześcijanina staje się znana teoria pochodzenia prostrą grzeźnością. . .

40. – Los Ewangelii rozstrzygnął się ze śmiercią – wisiała ona na „krzyżu”. . . Dopiero śmierć, ta nieoczekiwana, haniebna śmierć, haniebny krzyż, chowany na ogół tylko dla *canaille* – dopiero ten grozą przejmujący paradoks postawił uczniów przed właściwym pytaniem: „Kto to był? Co to było?”. – Wstrząśnięte i do głębi obrażone uczucie, podejrzenie, że taka śmierć mogłaby być obaleniem ich sprawy, straszliwy znak pytania „dlaczego właśnie tak?,, – ten stan jest aż nadto łatwy do pojęcia. Tu musiało być wszystko konieczne,

mieć myśl, rozum, najwyższy rozum; miłość ucznia nie zna przypadku. Dopiero teraz rozwarła się przepaść: „Kto go zabił? Kto był jego naturalnym wrogiem?„ – pytanie to wystrzeliło jak błyskawica. Odpowiedź: panująca żydowszczyzna, jej stan najwyższy. Od chwili tej powstawano w uczuciu swym przeciw porządkowi, następnie rozumiano Jezusa jako powstającego przeciw porządkowi. Dotąd brak było tego wojowniczego, tego w słowie i czynie zaprzecznego rysu w jego obrazie; co więcej rys ten był z nim sprzeczny. Widocznie mała gmina *nie* widziała właśnie rzeczy głównej, wzoru danego w tego rodzaju śmierci, wolności, wyższości ponad wszelkie uczucie *ressentiment*: – znak to, jak mało w ogóle z niego rozumiała! Samą śmiercią swą nie mógł Jezus chcieć niczego, tylko dać jawnie najsilniejszą próbę, dowód swej nauki. . . Ale uczniowie jego dalecy byli od tego, by tę śmierć przebaczyć – co by było ewangeliczne w najwyższym znaczeniu; lub nawet w łagodnym i miłym spokoju serca ofiarować się na śmierć podobną. . . Właśnie najmniej ewangeliczne uczucie, zemsta, wypłynęła na wierzch. Niemożliwe było, by sprawa zakończyła się tą śmiercią: potrzebowano „odpłaty”, „sądu” (a jednak, co może być jeszcze mniej ewangelicznego niż „odpłata”, „kara”, „sprawowanie sadu”). Jeszcze raz wystąpiło na pierwszy plan gminne oczekiwanie Mesjasza; wlepiono oczy w chwilę historyczną: „Królestwo Boże” przyjdzie sędzić swych wrogów. . . Lecz tym samym wszystko jest źle zrozumiane: „Królestwo Boże” jako akt końcowy, jako obietnica! Ewangelia jednak była właśnie istnieniem, spełnieniem, rzeczywistością tego „królestwa”. Właśnie taka śmierć była tym „Królestwem Bożym”. Teraz dopiero wniesiono w typ mistrza całą pogardę i rozgoryczenie przeciw faryzeuszom i teologom – uczyniono z niego przez to faryzeusza i teologa! Z drugiej strony zdziżać uwielbienie tych całkowicie ze spoidel wyrzuconych dusz nie mogło znieść dłużej owego ewangelicznego równouprawnienia każdego, by był dziecięciem Boga, jak tego uczył Jezus: zemstą ich było podniesienie w sposób przesadny Jezusa, oderwanie go od siebie: tak samo, jak niegdyś Żydzi z zemsty na swych wrogach oddzielili od siebie swego Boga i podnieśli w wyżyny. Jeden Bóg i jeden Syn Boży: obaj wytwory uczucia *ressentiment*. . .

41. – I odtąd wynurzył się niedorzeczny problemat: „jak Bóg mógł do tego dopuścić?”. Zaburzony rozum małej gminy znachodzi wprost straszliwie niedorzeczną na to odpowiedź: Bóg zesłał Syna swego dla przebaczenia grzechów, jako ofiarę. Jakże od jednego razu położono kres Ewangeli! Ofiara za winy, i to w swej najwstrętniejszej, najbardziej barbarzyńskiej formie, ofiarowanie niewinnego za grzechy winnych! Co za okropna pogańszczyzna! – Przecie Jezus sam usunął pojęcie „winy”, – zaprzeczył wszelkiej przepaści między Bogiem i człowiekiem, przeżywał tę jedność Boga i człowieka, jako swoją „radosną nowinę”. . . I nie jako przywilej! – Odtąd krok za krokiem wchodzi w typ Zbawiciela: nauka o sądzie i o powrocie, nauka o śmierci jako śmierci ofiar-

do nieba, rzucając zmierzch na bogów – co czynić! – Stary Bóg wynachodzi *wojnę*, dzieli ludy, sprawia, że ludzie niszczą się wzajemnie (kapłani zawsze potrzebowali wojny. . .). Wojna – między innymi wielki wichrzyciel wiedzy! – Nie do wiary! Poznanie, emancypacja spod władzy *kapłanów*, rośnie nawet mimo wojny. – I ostatnie postanowienie przychodzi staremu Bogu – człowiek stał się naukowy – nic nie pomoże, trzeba go utopić.

49. – Zrozumieście mnie? Początek Biblii zawiera całą psychologię kapłana. – Kapłan zna tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo: jest nim wiedza – zdrowe pojęcie przyczyny i skutku. Jednak wiedza rozkwita w całości tylko w szczęśliwych stosunkach – trzeba mieć czasu, trzeba mieć ducha *do* zbytku, by „poznawać”. . . „Przeto trzeba uczynić człowieka nieszczęśliwym” – taka była każdego czasu logika kapłana. – Łatwo już zgadnąć, *co* zatem dopiero, wedle tej logiki, na świat przyszło: – „grzech”. . . Pojęcie winy i kary, cały „moralny porządek świata” wynaleziono przeciwko wiedzy – przeciwko wyzwoleniu człowieka od kapłana. . . Człowiek *nie* powinien na zewnątrz, powinien w siebie patrzeć, nie powinien mądrze i ostrożnie, jako uczący się, patrzeć w rzeczy, powinien w ogóle wcale nie widzieć: powinien *cierpieć*. . . A powinien cierpieć, by każdego czasu potrzebował kapłana. – Precz z lekarzami! Potrzeba zbawiciela. – Pojęcie winy i kary, wraz z nauką o „łasce”, o „zbawieniu”, o „przebaczeniu” – kłamstwa na wskroś i pozbawione wszelkiej rzeczywistości psychologicznej – zostały wynalezione, by zburzyć zmysł przyczynowy człowieka: są one zamachem na pojęcie przyczyny i skutku! – I nie zamachem z pomocą pięści, noża, rzetelnej nienawiści i miłości! Lecz z głębi najtchórzliwszych, najchytrzejszych, najniższych instynktów! Zamachem kapłańskim! Zamachem pasożytów! Wampiryzmem białych podziemnych wysysaczy krwi! . . Skoro naturalne skutki czynu nie są już „naturalne”, jeno uchodzą za zdziałane przez pojęciowe widma zabobonu, przez „Boga”, przez „duchy”, przez „duszę”, jako czysto „moralne” konsekwencje, jako nagroda, kara, znak, środek wychowawczy, to zburzono założenie poznania – popełniono największą zbrodnię względem ludzkości. – Grzech, jeszcze raz mówiąc, ta forma samopohańbienia człowieka *par excellence*, został wynaleziony, by uniemożliwić wiedzę, kulturę, wszelkie wywyższenie i dostojność człowieka; kapłan panuje dzięki wynalazkowi grzechu. –

50. – Nie pomijam na tym miejscu psychologii „wiary”, „wierzących”, ku pożytkowi, jak słuszna, właśnie „wierzących”. Jeśli dziś jeszcze nie brak takich, którzy nie wiedzą, jak dalece nieprzyzwoitością jest być „wierzącym” – lub oznaką *decadence*, złamanej woli życia – to jutro będą to już wiedzieć. Głos mój dosięgnie i tępych słuchów. – Zda się, jeśli mi się nie przesłyszało, że istnieje wśród chrześcijan pewnego rodzaju kryterium prawdy, które się zowie „dowodem siły”. „Wiara uszczęśliwia, więc jest prawdziwa”. Wolno by tu najpierw zrobić zarzut, że właśnie uszczęśliwianie nie jest dowiedzione, lecz

Pawła. – Ów „Bóg”, którego wynalazł sobie Paweł, Bóg, który „pohańbią” „mądrość świata” (w ciaśniejszym znaczeniu obie wielkie przeciwniczki wszelkiego zabobonu, filozofii i medycynę), jest naprawdę tylko rezolutnym postanowieniem samego Pawła: nazywać „Bogiem” swoją własną wolę: hora, to jest prażydowskie. Paweł chce pohańbić „mądrość świata”, jego wrogami są dobrzy filologowie i lekarze z wykształceniem aleksandryjskim – z nimi wiedzcie wojnę. W samej rzeczy, nie jest się filologiem i lekarzem, nie będąc też zarazem antychrystem. Jako filolog bowiem zagląda człowiek poza książki, jako lekarz poza fizjologiczne zdechactwa typowego chrześcijanina. Lekarz mówi „nieuleczalne”, filolog „oszustwo”...

48. – Zrozumianoż właściwie sławną historię, umieszczoną na początku Biblii – o piekielnej trwodze Boga przed wiedzą?... Nie rozumiano jej. Ta księga kapłańska *par excellence* zaczyna się, jak słuszna, wielką wewnętrzną trudnością kapłana: *on* zna tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo, przeto zna „Bóg” tylko jedno wielkie niebezpieczeństwo. Stary Bóg, zupełny „duch”, zupełny arcykapłan, zupełna doskonałość, przechadza się w swym ogrodzie: tylko że się nudzi. Przeciwno nudzie nawet bogowie walczyli daremnie. – Cóż czyni? Wynachodzi człowieka – człowiek jest zabawny... Lecz oto patrzaj, i człowiek się nudzi. Zlitowanie Boga dla jedynej niedoli, którą mają wszystkie raje w sobie, nie zna granic: stworzył on inne jeszcze zwierzęta. Pierwszy błąd Boga: człowiek nie znalazł zwierząt zabawnymi – panował nad nimi, nie chciał się nawet zwać „zwierzęciem”. – Przeto stworzył Bóg kobietę. I rzeczywiście, teraz skończyła się nuda – lecz także jeszcze coś innego! Kobieta była drugim błędem Boga. – „Kobieta jest wedle istoty swej węzłem, Heva” – wie to każdy kapłan: „od kobiety pochodzi wszelkie zło na świecie” – to wie również każdy kapłan. „Przeto pochodzi od niej też wiedza”... Dopiero dzięki kobiecie nauczył się człowiek pożywać z drzewa świadomości. – Cóż się stało? Starego Boga porwała trwoga piekielna. Człowiek sam stał się największym jego błędem, Bóg stworzył sobie rywala, wiedza czyni Bogu podobnym – kres kapłanom i bogom, jeśli człowiek naukowym się stanie! – Morał: wiedza jest tym, co zabronione samo w sobie – ona jedynie jest zabroniona. Wiedza jest pierwszym grzechem, ziarnem wszech grzechów, grzechem pierworodnym. To jedynie jest morałem. – „Nie powinienes poznawać” – reszta wynika z tego. – Trwoga piekielna nie przeszkodziła Bogu być mądrym. Jak trzeba się bronić przeciw wiedzy? To stało się na długo jego głównym problematem. Odpowiedź: precz z człowiekiem z raj! Szczęście, bezczynność naprowadza myśli – wszystkie myśli są złymi myślami... Człowiek nie powinien myśleć. – I „kapłan sam w sobie” wynajduje niedolę, śmierć, życiowe niebezpieczeństwo ciąży, wszelkiego rodzaju nędzę, starość, mozól, chorobę przede wszystkim – same środki do walki z wiedzą! Niedola nie *pozwała* człowiekowi myśleć... A mimo to. Okropność! Dzieło poznania piętrzy się, szturmując

nej, nauka o zmartwychwstaniu, która sprzątnęła całe pojęcie „szczęśliwości”, całą i jedyną rzeczywistość Ewangelii – na rzecz stanu po śmierci!... Paweł wyciągnął z tego ujęcia rzeczy, z tej wszeteczności ujęcia rzeczy, taki wniosek z ową rabińską bezczelnością, która go cechuje pod każdym względem: „*jeśli* Chrystus nie powstał z martwych, to nasza wiara jest próżna”. – I jednym zamachem stała się z Ewangelii najnikczemniejsza z wszystkich nieosiągalnych obietnic, bezwstydną nauka o osobowej nieśmiertelności... Paweł sam uczył o niej jeszcze, jako o nagrodzie!...

42. Widzimy, co skończyło się wraz ze śmiercią na krzyżu: nowa, na wskroś oryginalna ośnowa buddyjskiego ruchu pokojowego, rzeczywistego, *nie* tylko obiecwanego szczęścia na ziemi. Bo to jest – podniosłem to już – zasadniczą różnicą między obiema religiami *decadence*: buddyzm nie obiecuje, lecz dotrzymuje, chrześcijaństwo obiecuje wszystko, lecz nie dotrzymuje niczego. Za „radosną nowiną” szła w ślad najgorsza: Pawłowa. W Pawła wciela się typ przeciwny „radosnemu zwiastunowi”, geniusz w nienawiści, w wizji nienawiści, w nieubłaganej logice nienawiści. Czegóż nie złożył ten dysangelista nienawiści w ofierze! Przede wszystkim Zbawiciela: wbił go na swój krzyż. Życie, przykład, nauka, śmierć, myśl i prawo całej Ewangelii – nic już nie zostało, gdy ten fałszerz monet z nienawiści pojął, czego jedynie mógł potrzebować. *Nie* rzeczywistości, *nie* prawdy historycznej!... I raz jeszcze instynkt kapłański Żyda popełnił tę samą, wielką zbrodnię na historii – przekreślił po prostu wczoraj, przedwczoraj chrześcijaństwa, wynalazł sobie historię pierwszego chrześcijaństwa. Więcej jeszcze: Paweł sfalszował jeszcze raz dzieje Izraela, by zdawały się przeddziejami jego czynu: wszyscy prorocy mówili o jego „Zbawicielu”... Kościół sfalszował potem nawet dzieje ludzkości na przeddzieje chrześcijaństwa... Typ Zbawiciela, nauka, praktyka, śmierć, myśl śmierci, nawet to, co po śmierci – nic nie pozostało nietkniętym, nic nie pozostało choćby tylko podobnym do rzeczywistości. Paweł przeniósł po prostu punkt ciężkości owego całego istnienia poza istnienie – w kłamstwo o „zmartwychpowstałym” Jezusie. W gruncie rzeczy całe życie Zbawiciela nie mogło mu się zdać w ogóle na nic – potrzeba mu było tylko śmierci na krzyżu i jeszcze czegoś więcej. Takiego Pawła, którego ojczyzna była stolicą stoickiego oświecenia, uważać za uczciwego, gdy z halucynacji stwarza sobie dowód dalszego istnienia Zbawiciela, lub choćby tylko używać wiary jego opowiadaniu, *że* miał tę halucynację, byłoby prawdziwą *niaiserie* ze strony psychologa: Paweł chciał celu, przeto chciał także środków... W co on sam nie wierzył, w to wierzyli idioci, między których on swoją rzucał naukę. – *Jego* potrzebą była *moc*; z Pawłem chciał jeszcze raz kapłan dojść do mocy – zdać mu się mogły tylko pojęcia, nauki, symbole, którymi tyranizuje się tłumy, tworzy trzody. Czego jedynie zapożyczył później Mahomet od chrześcijaństwa? Wynalazku Pawła, jego środka do tyranii kapłańskiej, do tworzenia trzody: wiary w nieśmiertelność – to jest nauki o „sądzie”...

43. Gdy się punkt ciężkości życia przeniesie *nie* w życie, lecz w „zaświat,, – w nicość – to odbiera się życiu w ogóle wagę. Wielkie kłamstwo o nieśmiertelności osobowej niszczy wszelki rozum, wszelką naturę w instynktach – wszystko, co jest w instynktach dobroczynnego, popierającego życie, poręczającego przyszłość, budzi odtąd nieufność. Tak żyć, by nie było już żadnego sensu żyć, *to* staje się teraz sensem życia... Po co duch obywatelski, po co jeszcze wdzięczność dla pochodzenia i przodków, po co współpracować, ufać, jakieś dobro powszechne popierać i mieć na oku?... Tyleż „pokus”, tyleż sprowadzeń z „dobrej drogi,, – „jednego trzeba”... By każdy jako „dusza nieśmiertelna” był z każdym równego rzędu, by wśród ogółu wszystkich istot „zbawienie” każdej poszczególnej mogło rościć sobie prawo do wiecznej ważności, by małe mruki i w trzech czwartych narwani mogli sobie roić, że gwoli nim ustawicznie przelamują się prawa przyrody – takiego spotęgowania wszelkiego rodzaju samolubstwa do nieskończoności, do bezwstydu, nie można z dostateczną napiętnować pogardą. A jednak temu godnemu politowania pochlebstwu osobistej próżności zawdzięcza chrześcijaństwo swoje zwycięstwo – przekonało tym do siebie wszystko nieudane, buntowniczo nastrojone, poronione, wszystkie wyrzutki i odpadki ludzkości. „Zbawienie duszy,, – po naszymu: „świat obraca się wkoło mnie”... Jad nauki „równe prawa dla wszystkich,, – chrześcijaństwo rozsiewało go najgruntowniej; chrześcijaństwo z tajemnych kątów lichych instynktów zwalczało na śmierć wszelkie uczucie czci i odległości między człowiekiem a człowiekiem, to jest, warunek wszelkiego wywyższenia, wszelkiego wzrostu kultury – ukuło sobie z *ressentiment* tłumów swój główny oręż przeciw nam, przeciw wszystkiemu, co dostojne, radosne, wielkoduszne na ziemi, przeciw naszemu szczęściu na ziemi... Przyznanie „nieśmiertelności” każdemu Piotrowi i Pawłowi było dotąd największym, najgorszego gatunku zamachem na dostojną człowieczość. – I nie lekceważmy też fatalności, która z chrześcijaństwa wpełzła aż do polityki! Nikt nie ma już dziś odwagi do praw wyjątkowych, do praw władczych, do uczucia szacunku dla siebie i dla równego sobie, do patosu odległości... Nasza polityka choruje na ten brak odwagi! – Arystokracizm sposobu myślenia został przez kłamstwo o równości dusz najpodziemniej podkopany; i jeśli wiara w „przywilej najliczniejszych” czyni rewolucje i czynić będzie – nie wątpmy, że to chrześcijaństwo, że to chrześcijańskie oceny wartości, które każda rewolucja tylko na krew i zbrodnie tłumaczy! Chrześcijaństwo jest buntem wszystkim, co pełza po ziemi, przeciw temu, co ma *wyżynę*: Ewangelia „małuczki” czyni małym...

44. – Ewangelie są nieocenione jako świadectwo niepowstrzymanego już zepsucia w obrębie pierwszej gminy. To, co Paweł później z logicznym cynizmem rabina doprowadził do końca, było mimo to tylko procesem upadku, który zaczął się ze śmiercią Zbawiciela. – Ewangelii tych nie można czy-

chrześcijan” przeciw sobie. Czyta się Nowy Testament nie bez szczególnego upodobania w tym, z czym się on źle obchodzi – nie mówiąc już o „mądrości tego świata”, którą bezczelny fanfaron usiłuje daremnie pohańbić „głupim kazaniem”... Lecz nawet faryzeusze i uczeni w Piśmie mają swą wyższość nad takimi przeciwnikami: musieli być już coś warci, żeby nienawidzono ich w tak nieprzyzwoity sposób. Obłuda – to byłby zarzut, który „pierwsi chrześcijanie” uczynić śmieli! – W końcu byli to uprzywilejowani: to wystarcza, moralności czandalów nie potrzeba żadnych więcej powodów. „Pierwszy chrześcijanin,, – lękam się, że i „ostatni chrześcijanin”, którego może jeszcze dożyję – buntuje się przeciw wszystkiemu, co uprzywilejowane, z najgłębszego instynktu – żyje on, walczy zawsze za „równe prawa”!... Gdy przyjrzymy się dokładniej, nie ma on innego wyboru. Jeśli się chce, co do swej osoby, być „wybrańcem Bożym,, – lub „świętynią Boga”, lub „sędzią Aniołów,, – to każda inna zasada wybrania, na przykład wedle uczciwości, wedle ducha, wedle męskości i dumy, wedle piękności i wolności serca, po prostu „świat,, – jest złem samym w sobie... Morał: każde słowo w ustach pierwszego chrześcijanina jest kłamstwem, każdy czyn, który spełnia, fałszerstwem z instynktu – wszystkie jego wartości, wszystkie jego cele są szkodliwe, lecz ten, którego on nienawidzi, lecz to, czego on nienawidzi, ma wartość... Chrześcijanin, zwłaszcza kapłan-chrześcijanin, jest kryterium wartości.- Mamże rzec jeszcze, że w całym Nowym Testamencie występuje tylko jedna jedyna postać, którą się czcić musi? Piłat, namiestnik rzymski. Brać poważnie zwadę żydowską – do tego on się nie skłania. O jednego Żyda więcej lub mniej – cóż na tym zależy?... Dostojne szyderstwo Rzymianina, przed którym dopuszczano się bezwstydnego nadużycia słowa „prawda”, wzbogaciło Nowy Testament jedynym słowem, które ma wartość, które jest jego krytyką, samym jego zniszczeniem: „Cóż jest prawda!”...

47. – **Nie to nas oddziela, że nie odnajdujemy Boga ani w dziejach, ani w przyrodzie, ani poza przyrodą – lecz że tego, co jako Bóg czczone było, nie odczuwamy jako „boskie”, lecz jako politowania godne, jako niedorzeczne, jako szkodliwe, nie tylko jako błąd, lecz jako zbrodnię względem życia...** Zaprzeczamy Boga jako Boga... Gdyby nam tego Boga chrześcijan udowodniono, umielibyśmy jeszcze mniej w niego wierzyć. – W formule: *deus qualem Paulus creavit, dei negatio*. – Religia, jak chrześcijaństwo, która w żadnym punkcie nie styka się z rzeczywistością, która natychmiast upada, skoro rzeczywistość choćby tylko na jednym punkcie dojdzie do prawa, musi słusznie być śmiertelnym wrogiem „mądrości świata”, to znaczy wiedzy – uzna ona za dobre wszystkie środki, które mogą zatruć, oczernić, *osławić* karność ducha, czystość i surowość w rzeczach duchowego sumienia, dostojny chłód i wolność ducha. „Wiara” jako imperatyw to veto przeciwko wiedzy – *in praxi* kłamstwo za wszelką cenę... Paweł pojął, że kłamstwo – że „wiara” jest potrzebna: Kościół pojął znów później

„Ażaz nie wiecie, iż święci będą sądzili świat? A jeśli świat od *was* będzie sądzony, czyliście niegodni, abyście sądy mniejsze odprawiali?” (Paweł, / List do Koryntian 6, 2). – Niestety nie tylko mowa wariata... Ten straszliwy oszust ciągnie dosłownie:

„Ażaz nie wiecie, że Anioły sądzić będziemy? A cóż tych doczesnych rzeczy!”...

„Izali w głupstwo nie obrócił Bóg mądrości świata tego! Albowiem ponieważ w mądrości Bożej świat nie poznał Boga przez mądrość, upodobało się Bogu przez głupie kazanie zbawić wierzących...; niewiele mądrych według ciała, niewiele możnych, niewiele zanego rodu; ale co głupiego jest u świata tego, to wybrał Bóg, aby zawstydził mądrych; a co mdłego u świata, wybrał Bóg, aby zawstydził mocnych. A podłego rodu u świata i wzgardzone wybrał Bóg, owszem te rzeczy, których nie masz, aby te, które są, zniszczył. Aby się nie chlubiło żadne ciało przed obliczem jego”.

(Paweł, I List do Koryntian 1, 20 i nast.). – By ustęp ten, pierwszorzędną świadectwo dla psychologii każdej moralności czandaków, zrozumieć, należy przeczytać pierwszą rozprawę mej Genealogii moralności: wydobyto w niej po raz pierwszy na światło przeciwieństwo moralności dostojnej, a z *ressentiment* i bezsilnej zemsty zrodzonej moralności czandaków. Paweł był największym z apostołów zemsty...

46. – Co stąd wynika? Że dobrze się robi, nakładając rękawiczki przy czytaniu Nowego Testamentu. Bliskość tyłu nieczystości zmusza prawie do tego. Nie wybralibyśmy sobie „pierwszych chrześcijan” do obcowania z sobą, nie mniej niż Żydów polskich, nie potrzebując stawiać im żadnego więcej zarzutów... I jedni, i drudzy nie bardzo pachną. – Daremnie szukałem w Nowym Testamencie choćby jednego sympatycznego rysu; nie ma tam nic wolnego, dobrotliwego, szczerego, uczciwego. Człowieczeństwo nie uczyniło tu jeszcze swego pierwszego kroku – brak instynktów schludności... W Nowym Testamencie są tylko lichy instynkty, nie ma odwagi nawet do tych lichych instynktów. Wszystko jest w nim tchórzostwem, wszystko jest zezowaniem i samooszustwem. Każda książka staje się schludną, skoro się dopiero co czytało Nowy Testament: czytałem, by dać przykład, z zachwytem bezpośrednio po Pawle owego wdzięcznego, zuchwałego szydercę Petroniusza, o którym można by powiedzieć, co Domenico Boccacio pisał do księcia Parmy o Cezarze Borgia: *e tutto festo* – nieśmiertelnie zdrów, nieśmiertelnie pogodny i udany... Te małe mruki bowiem przeliczają się zawsze w głównej rzeczy. Napadają oni, lecz wszystko na co napadną, jest tym odznaczone. Na kogo „pierwszy chrześcijanin” napada, tego nie kała... Odwrotnie: jest chluba mieć „pierwszych

tać dość bacznie: mają one swoje trudności poza każdym słowem. Wyznaję, a policzone mi to będzie za dobre, że właśnie dlatego są one dla psychologa przyjemnością pierwszorzędną – jako przeciwieństwo wszelkiego naiwnego zepsucia, jako wyrafinowanie *par excellence*, jako artyzm w psychologicznym zepsuciu. Ewangelie mówią za siebie. Biblia w ogóle nie znosi żadnego porównania. Jest się wśród Żydów: pierwszy punkt widzenia, by tu nie stracić całkowicie nici. Wzniesione tu wprost do geniuszu samoudawanie „świętości”, nigdy poza tym wśród ksiązek i ludzi nawet w przybliżeniu nie osiągnięte, to fałszerstwo monet w słowach i gestach, jako sztuka, nie jest przypadkiem jakiejś jednostkowej zdolności, jakiejś natury wyjątkowej. Tu wchodzi w grę rasa. W chrześcijaństwie, jako w sztuce świętego kłamania, dochodzi cała żydowszczyzna, kilkusetletnie żydowskie najpoważniejsze ćwiczenie i technika do ostatecznego mistrzostwa. Chrześcijanin, *ta ultima ratio* kłamstwa, jest Żydem raz jeszcze – nawet trzykrotnie... Zasadnicza wola posługiwania się tylko pojęciami, symbolami, postawami, dowiedzionymi praktyką kapłana, instynktowne odpieranie wszelkiej *innej* praktyki, wszelkiego innego rodzaju perspektywy wartości i pożyteczności – to nie tylko tradycja, to dziedzictwo: tylko jako dziedzictwo działa to jak natura. Cała ludzkość, nawet najlepsi łepacy najlepszych czasów – (z wyjątkiem jednego, który jest może tylko nieczłowiekiem) – dali się złudzić... Czytano Ewangelię jako księgę niewinności i... niemała wskazówka, z jakim mistrzostwem tu grano. – Oczywiście: gdybyśmy ich mogli widzieć, choćby tylko w przejściu, tych wszystkich dziwnych mruków i sztucznych świętych, wszystko by było skończone – i właśnie dlatego, że *ja* słów nie czytam, by też nie widzieć i gestów, kres im kładę... Nie mogę w nich znieść pewnego rodzaju podnoszenia oczu. – Na szczęście dla przeważnej liczby ludzi są książki tylko literaturą – Nie trzeba się dać w błąd wprowadzać: „nie sądzcie!” mówią oni, lecz posyłają do piekła wszystko, co im w drodze stoi. Każąc sądzić Bogu, sądzą sami; wychwalając Boga, wychwalają samych siebie; wymagając cnót, do których właśnie są zdolni – więcej jeszcze, których potrzebują, by w ogóle pozostać u góry – nadają sobie wielki pozór walczenia o cnotę, boju o panowanie cnoty. „Żyjemy, umieramy, ofiarujemy się za dobro” („prawda”, „światło”, „Królestwo Boże”): w rzeczywistości czynią, czego niechać nie mogą. Przeciskając się sposobem milczków, siedząc w kącie, żyjąc jak cienie w cieniu, czynią sobie z tego obowiązek: z obowiązku jawi się ich życie jako pokora, jako pokora jest ono jednym więcej dowodem ich bogobojności... Ach, ten pokorny, czysty, miłosierny rodzaj obłudy! „Niech cnota sama świadczy za nas”... Czytajcie Ewangelie jako księgi uwodźcielstwa mocą moralności: ci mali ludzie wzięli warendę moralność – wiedzą oni, jak się ma rzecz z tą moralnością! Ludzkość najlepiej wodzi się za nos moralnością! – Rzeczywistością jest, że najświadomsza zarozumiałość wybranych gra tu rolę skromności: postawiono raz na zawsze siebie, „gminę”,

„dobrych i sprawiedliwych” po jednej stronie, po stronie „prawdy”, – a resztę „świat”, po drugiej... To był najfatalniejszy rodzaj manii wielkości, jaki dotąd istniał na ziemi: małe potworki mruków i kłamców zaczęły posługiwać się pojęciami „Bóg”, „prawda”, „światło”, „duch”, „miłość”, „mądrość”, „życie”, niby synonimami swymi, by odgraniczyć w przeciwieństwie do siebie „świat”,; małe Żydki najwyższego stopnia, dojrzałe do każdego rodzaju domu wariatów, odwracały wartości w ogóle wedle siebie, jak gdyby dopiero chrześcijanin był myślą, solą, miarą, także ostatecznym sądem całej reszty... Całą tę fatalność umożliwiło jedynie to, że był już na świecie pokrewny, rasowo pokrewny rodzaj manii wielkości, żydowski: skoro raz otwarła się przepaść między Żydami a żydochrześcijanami, nie pozostało tym ostatnim nic do wyboru, tylko zastosować te same procedury samozachowania, których doradzał instynkt żydowski, przeciw samym Żydom, podczas gdy Żydzi używali ich dotąd tylko przeciw wszystkiemu co *nie* żydowskie. Chrześcijanin jest tylko Żydem „wolniejszego” wyznania. –

45. – Podaję kilka próbek tego, co sobie ci mali ludzie wbili w głowę, co mistrzowi swemu włożyli w usta: same wyznania „pięknych dusz”. –

„A którzykolwiek by was nie przyjęli, ani was słuchali, wyszedłszy stamtąd, otrząśnijcie proch z nóg waszych na świadectwo im; zaprawdę powiadam wam: lżej będzie Sodomie i Gomorze w Dzień Sądny, niż miastu onemu”

(Marek 6, 2). – Jak ewangelicznie!

„A kto by zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, daleko by mu lepiej było, aby był zawieszony kamień młyński u szyi jego i w morze był wrzucony”

(Marek 9, 42). – Jak ewangelicznie!

„A jeśli cię oko twoje gorszyło, wyłup je; bo lepiej tobie jednookim wnieść do Królestwa Bożego niżeli dwoje oczu mając, wrzuconym być do ognia piekielnego; gdzie robak ich nie umiera a ogień nie gaśnie”

(Marek 9, 47). – Niekoniecznie oko ma się tu na myśli...

„Zaprawdę powiadam wam, iż są niektórzy z tych, którzy tu stoją, którzy nie ukuszą śmierci, ażby ujrzeli, że Królestwo Boże przyszło w mocy”

(Marek 9, 1). – Dobrze zelgane, lwie...

„Ktokolwiek chce za mną iść, niech samego siebie zaprze, a weźmie krzyż mój i naśladuje mnie, albowiem...”

(Przypisek psychologa: moralność chrześcijańską zbijają jej „*albowiem*”: jej „argumenty” zbijają – tak jest po chrześcijańsku). Marek 8, 34. –

„Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Jaką miarą mierzycie, taką wam odmierzone będzie”

(Mateusz 7, 1). – Co za pojęcie o sprawiedliwości, o „sprawiedliwym” sędzi!...

„Albowiem jeśli miłujecie tych, którzy was miłują, jakąż zapłatę macie? Aż i celnicy tego nie czynią? A jeśli byście tylko braci waszych pozdrawiali, cóż osobliwego czynicie? Aż i celnicy tak nie czynią?”

(Mateusz 5, 46). Zasada „chrześcijańskiej miłości”: chce mieć w końcu dobrą zapłatę...

„Ale jeśli nie odpuścicie ludziom upadków ich, i Ojciec wasz nie odpuści wam upadków waszych”

(Mateusz 6, 15). – Bardzo kompromitujące dla pomienionego „Ojca”...

„Ale szukajcie naprzód Królestwa Bożego, i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydane”

(Mateusz 6, 33). – Takie wszystko: mianowicie żywność, odzież, wszystkie potrzeby życia. Błąd, wyrażając się skromnie... Krótko przedtem jawi się Bóg jako krawiec, przynajmniej w pewnych wypadkach...

„Radujcie się dnia tego i weselcie się; albowiem oto zapłata wasza jest obfita w niebiesiech; boć tak właśnie czynili prorokom ojcowie ich”

(Łukasz 6, 23). – Bezwstydna hołota! Porównywa się już z prorokami...

„Aż nie wiecie, iż Kościołem Bożym jesteście, a Duch Boży mieszka w was? A jeśli kto gwałci Kościół Boży, tego Bóg skazi, albowiem Kościół Boży święty jest, którym wy jesteście”

(Paweł, / List do Koryntian 3, 16). – Nie ma dość pogardy dla czegoś podobnego...